NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKÓW, ZACISZE 7. ... TEL. 479

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 11 sierpnia 1906 r. Nr. 32.

Zabicie pomocnika warszawskiego generał-gubernatora.

(Treść na stronie 2.)



Zabicie pomocnika warszawskiego generał-gubernatora.

(Do illustracyi tytułowej).

Przed tygodniem rozeszła się po Warszawie wieść o zabiciu generał majora Margrafskiego, szefa żandarmów Królestwa Polskiego, pomocnika warszawskiego generał-gubernatora w wydziale policyjnym, który pozostając na stanowisku swem w Warszawie lat kilkanaście, był doskonale znany szerokim warstwom ludności.



40-lecie pracy lekarskiej: Dr. Szymon Adler, lekarz fabryczny od lat 40-stu w rządowej fabryce tytoniu w Monasterzyskach, który w tych dniach obchodził rzadki jubileusz pracy zawodowej na tym samym posterunku.

Margrafski zabity został w Otwocku, gdzie we własnej willi zamieszkiwał z towarzyszką życia i dwojgiem dzieci — chłopcem i dziewczynką.

Margrafski częstokroć wobec obowiązków swych zrana wyjeżdżał do Warszawy, wieczorem zaś wracał.

Wyjechał ostatnim razem przed katastrofą, zapowiadając powrót o godzinie 4 popołudniu.

Istotnie pociągiem, pocztowym (Nr. 4), nadchodzącym do Otwocka o godzinie 4 minut 13, generał Margrafski powrócił, powitany na dworcu przez towarzyszkę i dzieci.

Wszyscy potem wsiedli do oczekującego ich własnego pojazdu i udali się w drogę do willi.

Gdy pojazd kierowany przez żandarma Dymitra Siemienowa, minął przejazd kolejowy i znalazł się w miejscu rozgałęziającem drogę, woźnica dostrzegł 6 ludzi, rozstawionych bo obu stronach drogi. Nieprzypuszczając wszakże zamachu, woźnica zaciął konie i potoczył się dalej, lecz nagle, gdy pojazd zrównał się z owymi ludźmi, rozległo się jednocześnie z romaitych kierunków kilkanaście strzałów wymierzonych do pojazdu.

Głuchy jęk wyrwał się z piersi jadących; siedzący na skraju pojazdu generał Margrafski zachwiał się i runął na ziemię: wraz z nim wypadł także z pojazdu chłopiec.

Obydwu rzucono się na pomoc, lecz ta okazała się spóźnioną, gdyż zarówno generał Margrafski, jak i chłopiec ponieśli śmierć natychmiastową.

Z pośród pozostałych jadących z generałem nikt szwanku nie poniósł, choć życiu ich groziło poważne niebezpieczeństwo, konie bowiem, z których jeden został raniony kulą, spłoszyły się, poniosły i z wielkim trudem dały się opanować.

Zabitych przeniesiono do willi, żandarmerya miejscowa zawiadomiła o zajściu władze w Warszawie, które niebawem na miejsce wypadku wysłały z dworca Nadwiślańskiego dwa wagony żołnierzy.

Do Otwocka o godzinie 7 wieczór udali się także pułkownik żandarmeryi Imsen, oraz oficer żandarmów Sobokiński.

Jednocześnie szosą wawerską udało się na pościg 25 konnych żandarmów. Sprawców nie ujęto.

Zabity generał liczył lat około 60, swego czasu był znany jako korespondent warszawski gazety „Petersburskija Wiedomosti“.

Przypadkowo ugodzony kulą chłopiec, syn towarzyszki generała, liczył lat 12.

Wypadek wśród licznie zamieszkałych w Otwocku wywołał silne wrażenie.

Wiele osób wieczorem na widok groźnej postawy przybyłych żołnierzy, opuściło letnisko, wracając do Warszawy.

40-lecie pracy lekarskiej.

W Monasterzyskach obchodził w tym tygodniu czterdziestoletni jubileusz zawodu lekarskiego dr. Szymon Adler, lekarz fabryczny w tamtejszej fabryce tytoniu.

Obchód uroczysty jubileuszu, odbył się w tej samej sali, w której dr. Adler ordynuje w fabryce od lat czterdziestu. W tym celu udekorowano portret jubilata, przed którym zebrali się wszyscy pracujący w fabryce. Po powitaniu zasłużonego doktora przez urzędników w sposób serdeczny i koleżeński, z kolei wyprawili ukochanemu lekarzowi swemu gorącą owacyę robotnicy,



Popularny przemysłowiec: Zmarły przed tygodniem przemysłowiec warszawski, śp. Julian Fraget, z którego fabryki słynne platery noszą w Królestwie Polskiem i w Rosyi od jego imienia nazwę wyrobów „frażetowskich“.

Wygłoszono liczne mowy przy tej okazyi, w których sławiono słusznie zasługi i cnoty jubilata.

W uroczystości brała udział rodzina dra Adlera, tj. dzieci i wnuki jego, w liczbie około trzydziestu osób, co dodawało obchodowi cechy jeszcze bardziej familijnej i rozrzewniało uczestników.



Fotografia zakładu Br. Mieszkowskiego w Warszawie.

Ustąpienie Ludwika Górskiego: Towarzystwo Kredytowe Ziemskie w Królestwie Polskiem: w sali posiedzeń gmachu T. K. Z. w Warszawie, ostatnie posiedzenie radców pod prezydencyą przechodzącego w stan spoczynku po długoletniej pracy prezesa Dyrekcyi Głównej, Ludwika Górskiego (×).

Z okazyi 40-lecia zawodu doktorskiego pana Adlera, zamieściła i fachowa prasa lekarska w stolicy kraju jaknajpochlebniejsze artykuły o jubilacie, którego portret podajemy dziś Czytelnikom.

Popularny przemysłowiec.

Zasłużony przemysłowiec, popularny w Warszawie fabrykant platerów, śp. Julian Fraget, przeżywszy lat 67, zmarł w Purkersdorfie pod Wiedniem dnia 27 lipca r. b.



Tragiczna śmierć potomka królewskiego: Książę Eugeniusz Murat, którego przodkiem był za Napoleona król Neapolu, a który zginął zabiwszy się na samochodzie. (Do artykułu na str. 9).

Nazwisko jego związane jest z gałęzią przemysłu krajowego, która nazwę swą wzięła od niego. Wyroby frażetowskie znane są w całem państwie rosyjskiem i współzawodniczą z powodzeniem z innemi wyrobami tego rodzaju zagranicznemi.

Pomimo francuskiego pochodzenia, śp. Julian Fraget był dobrym Polakiem i zasłużył się dobrze swojej przybranej ojczyźnie. Oddany swej pracy zawodowej, miał zawsze dobro swych współpracowników a głównie robotników na celu i wcześniej niż ktokolwiek, zaprowadził u siebie pomoc lekarską, kasę chorych, kasę emerytalną, ochronkę dla dzieci i t. p.

Niestety w zamęcie, w którym dziś żyjemy, nie wszyscy potrafili ocenić jego dobre chęci, obłęd, uzbroił zbrodnicze ręce do zamachu na jego życie w lutym r. 1904, z którego cudem prawie ocalał. Od tego czasu choroba serca zaczęła się szybko rozwijać, przejścia fizyczne i moralne były nad siły i ostatecznie uległ chorobie poza granicami kraju ukochanego i zdala od swoich najbliższych.

* * *

Zmarły osierocił małżonkę Antoninę z Sauve'ów i jedyną córkę Maryę, zaślubioną ks. Czesławowi Swiatopełk-Mirskiemu.

Ustąpienie Ludwika Górskiego.

Załączona fotografia przedstawia ostatnie posiedzenie radców Tow. Kredytowego Ziemskiego w Królestwie Polskiem pod prezydencyą przechodzącego w stan spoczynku po 16 latach pracy prezesa Dyrekcyi głównej Ludwika Górskiego.

Zebrani członkowie piastujący urzędy oraz urzędnicy instytucyi pożegnali na tem posiedzeniu swego czcigodnego seniora serdecznie, poczem wybrano jego następcą księcia Włodzimierza Czetwertyńskiego.

Według statutów prezesa komitetu obierają członkowie ze swego grona.

Komitet w obecnym swym składzie stanowią: Z gub. warszawskiej: Janusz Śliwiński, Stanisław Dzierżbicki; kaliskiej: Mieczysław Chrzanowski, Artur Dzierzbicki; kieleckiej Mieczysław Godlewski, Eustachy Dobiecki; płockiej: Antoni Ostrowski, Kajetan Piechowski; lubelskiej Mieczysław ks. Woroniecki, Stanisław Boduszyński; piotrkowskiej: Michał Rogowski, Józef Ostrowski; radomskiej: Zdzisław Reklewski, Stanisław Boniecki; siedleckiej: Maryan Szeliski, Włodzimierz ks. Czetwertyński; łomżyńskiej: Zygmunt Gloger, Karol Gniazdowski; suwalskiej: Leon Wiszniewski, Włodzimierz Gawroński.

Próby sterowania balonem.

Któż nie zna nazwiska odważnego sportowca paryskiego Santos-Dumonta, który wytrwale próbuje sterować swoim balonem.

Co kilka tygodni publiczność dowiaduje się, że nigdy nie zniechęcony żeglarz znowu zapowiada wycieczkę ze swoim latawcem powietrznym. Tłum ciekawych gromadzi się, przygląda, bije oklaski i żegna podróżnika, żeby nazajutrz czytać w dziennikach o jego przygodach w podróży balonowej.

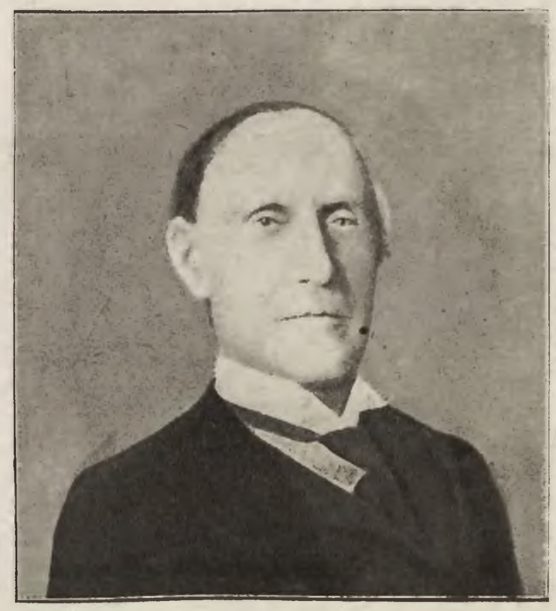
Tyle już razy Santos-Dumont spadł na ziemię czy w wodę, a jednak zabierał się za każdym razem zaraz napowrót do pracy nad ulepszeniem swojej maszyny do latania.

Uwziął się bowiem, że wynajdzie ostatecznie sposób niezawodny sterowania balonem. I cierpliwie, wytrwale pracuje w tym kierunku, coraz to nowe szczegóły obmyślając dla konstrukcyi swego aeroplanu.

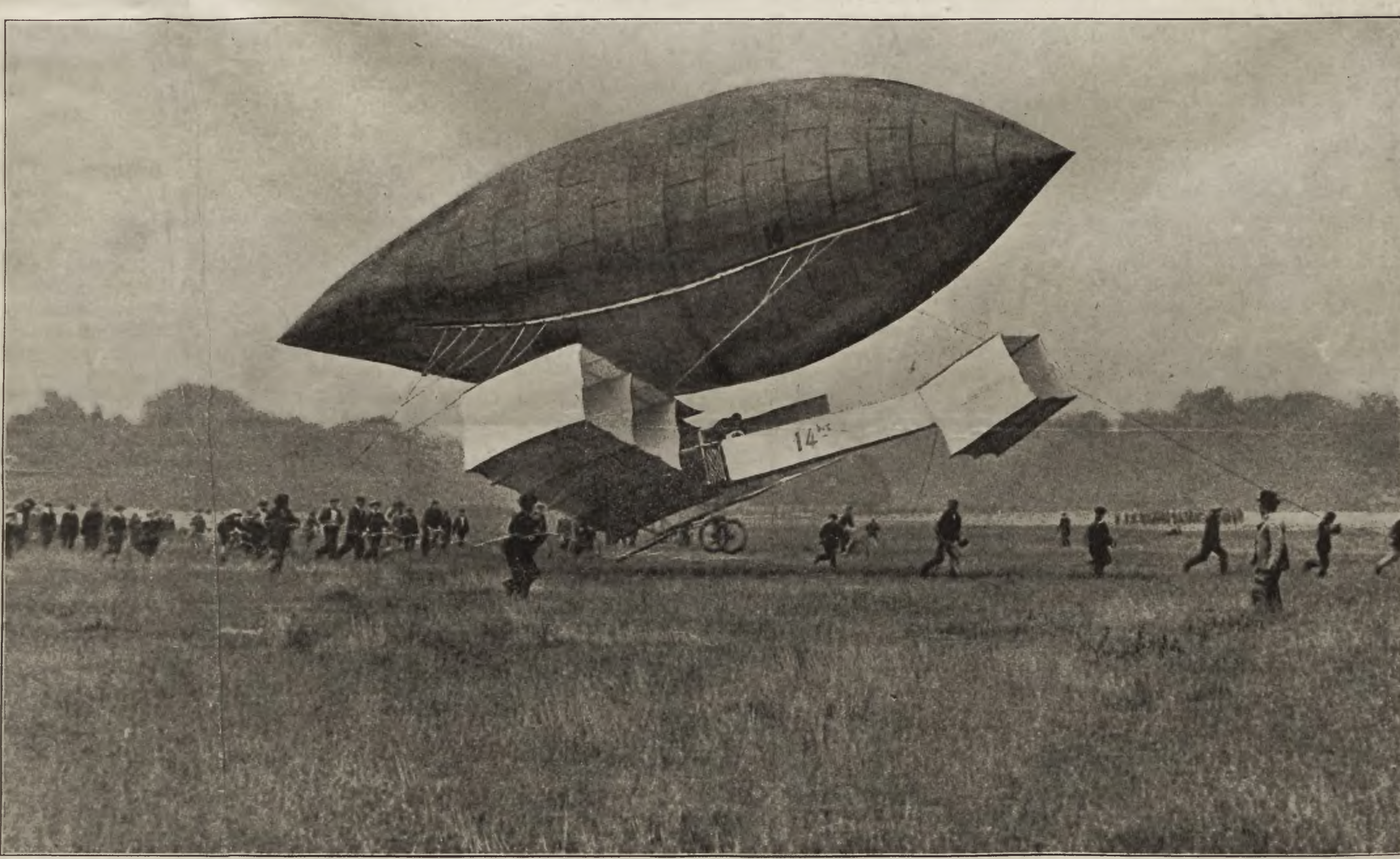
* * *

Rycina nasza przedstawia właściwie chwilę prób z nowemi przyrządami w polu. Maszyna w hali wypróbowana, już zadowoliła mistrza, teraz manewruje z nią pod gołem niebem dla przekonania się, czy będzie mógł ruszyć z jej pomocą w podróż lotem ptaka.

Lada dzień dowiemy się o wynikach jego doświadczeń.



Nestor miliarderów amerykańskich: Russel Sage, zmarły w tych dniach amerykański król kolejowy, słynny ze skąpstwa, mimo, że zebrał 150 milionów dolarów majątku. (Do artykułu na str. 14)



Próby sterowania balonami: Znany żeglarz powietrzny Santos-Dumont odbywa pierwsze próby na polu ze swą nową maszyną do latania, która w hali dała już zadowalają rezultaty

OFIARY WAMPIRÓW.

Romans z życia przez Gr-ego.

20 Ciąg dalszy.

Naraz przed sobą na zakręcie spostrzegł idące śpiesznie dwie osoby. Nie był pewnym, ale mu się wydawało, iż jedna z tych dwojga osób była Marylką Reman.

Przeczekał chwilkę, przyczajony pod murem. Zniknęli mu z oczu w głębi kurytarza, a wtedy Anielski szybko poszedł w stronę kancelaryi dyrektora, gdyż nagle zoryentował się, że znajduje się w miejscu, skąd do niej było już niedaleko i którędy go do biura dyrektora prowadzono często z celi.

Jednemu ze strażników wydała się podejrzaną ta przechadzka, spojrzał za nim i poznawszy doktora, który uchodził w więzieniu za obłąkanego, narobił alarmu.

To wyprowadziło z równowagi Anielskiego, który natychmiast rzucił się ku najbliższym schodom, w przeciwnym kierunku, aniżeli miał udać się do biura dyrektora, dla odszukania dra Wrzesińskiego.

Po schodach zbiegał z piętra na piętro i zanim na skutek alarmu strażnika puszczono się za nim w pogoń, znalazł się w sieni na dole.

W pierwszej chwili potracono głowy i szukano Anielskiego wprost w przeciwnym kierunku i temu właśnie opóźnieniu pogoni zawdzięczał on ucieczkę.

Pragnienie odzyskania coprędzej wolności, tęsknota za żoną, wreszcie sam zmysł samozachowawczy pchały go naprzód.

Kiedy wszedł do sieni, struchlał na widok straży licznych i uzbrojonych groźnie.

Ale nie stracił ani na chwilę przytomności. Szedł dalej śmiało.

Właśnie, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, w bramie wpuszczano kogoś do środka.

Z tej okazyi skorzystał Jan Anielski i przecisnął się przez drzwi, tuż obok człowieka wchodzącego do sieni.

Jego śmiałe ruchy nie zwróciły uwagi strażników, którzy wzięli go za całkiem kogo innego i nie powstrzymywali.

Ale za to człowiek, którego wpuszczono do bramy więziennej, cofnął się nagle, obejrzał za wychodzącym i krzyknął:

— Panie doktorze!

Poczem zwracając się do straży, spytał:

— Czy nie był to doktór Anielski?

Otyły dozorca w bramie nie zrozumiał pytania, zwłaszcza, że nazwisko Anielskiego nic mu nie mówiło.

— Ależ ja przekonany jestem, że to nikt inny, tylko doktór Anielski — powtórzył gość, do którego na dźwięk tych słów rzucił się natychmiast jeden ze strażników w sieni stojących.

Naraz parę osób wyjrzało z bramy w stronę, w którą palcem gość wskazywał.

— Ja go znam z widzenia, proszę pana — rzekł strażnik — to nie był on... Jemuby się nie udało uciec od nas, tam jego już dobrze pilnują w celi...

— Ależ on bez kapelusza wybiegł, czyście nie zauważyli...

Wmieszał się w to ktoś drugi, utrzymując, że ów pan bez kapelusza jest lekarzem, który tu ma coś do czynienia, u dyrektora więzienia przesiaduje ciągle w kancelaryi, to wchodzi, to wychodzi znowu...

Mimo to jeden z dozorców wybiegł za mężczyzną bez kapelusza dla zaspokojenia swego sumienia. Jednakże nie było już z niego ani śladu. Wsiadł do dorożki i w jednej chwili zniknął im z oczu wśród ciemności.

Wtem szmer powstał w sieni. Właśnie z góry dano znać na dół, że uciekł jeden z więźniów. Kazano tedy nie wypuszczać z bramy nikogo.

— A nie mówiłem — zawołał na to gość do strażników.

— Nie, panie, to być nie może, skoro nam dano znać w tej chwili, to znaczy, że ten więzień dopiero ma wpaść w naszą pułapkę... To będzie ktoś przebrany, kto zechce wyjść swobodnie za bramę w mundurze wojskowym, lub w takim, jak my nosimy... To skoro oni tam się na tem spostrzegli, tak my się zaraz na niego natkniemy.

Wśród tego wyszedł ktoś z funkcyonaryuszy miejscowych w towarzystwie młodej kobiety, z głębi budynku, zmierzając wprost ku bramie. Ale ponieważ nie wypuszczano nikogo teraz, nawet osób, już powyżej przepuszczonych przez szyldwachów, przeto z miejsca zastąpiono im drogę.

Na ten widok kobieta zadrżała widocznie, a mężczyzna zaśmiał się głośno.

— Ach, to wy! — krzyknął jeden w bramie, poznając swojego — daj Boże zdrowia...

— No, swobodnie — dodał któryś starszy, witając się z nim, skutkiem czego natychmiast drzwi otwarto, wypuszczając ich wolno.

Elegancki gość jeszcze nie opuścił sieni, przystanąwszy u bramy, nie tracąc ani na chwilę przekonania, że uciekł stąd nie kto inny, jak Anielski.

Jakoż właśnie dano znać z góry, że odbywa się pościg za zbiegłym więźniem-waryatem.

— A co! — tryumfował gość w cylindrze — mnie oczy nie mylą...

Wszyscy znaleźli się za bramą. Tylko gość wchodził do wnętrza, myśląc nad tem znowu, skąd wydała mu się znajomą twarz kobiety, którą przed minutą wyprowadził na ulicę jeden z dozorców więziennych.

Czytelnicy domyślają się niewątpliwie, że owym gościem, który poznał w bramie Anielskiego, był książę Mirosław Czerski, a młodą kobietą, której twarz go uderzyła jakiemś niejasnem wspomnieniem — była Marylka Reman.

Czerski przybył na Pawiak jedynie w sprawie Anielskiego, a trafił właśnie na chwilę jego ucieczki z więzienia.

Zrazu alarm sprawił tak wielkie zamieszanie w gmachu, że książę niczego nie mógł się dowiedzieć, szedł kurytarzami, dopytując się po drodze, ale informacye, udzielane mu, były wogóle i bałamutne i niechętnie mu nawet odpowiadano na pytania, biegając to w tę, to w ową stronę.

Aż natknął się na kogoś ze starszych funkcyonaryuszów, który właśnie wydawał nowe polecenia i ten mu wręcz oświadczył, że doktora Anielskiego już wypuszczono z więzienia zupełnie.

— Nie mogę panu powiedzieć, czy za kaucyą, dość, że go wypuszczono... Już wstrzymałem pościg za zbiegiem, ponieważ przez ten czas sprawa się wyjaśniła...

Rozdawał książę na wszystkie strony napiwki, żeby docierać głębiej, gdy naraz spostrzegł, że wypada mu zacząć się cofać.

Już w powrotnej drodze dowiedział się, iż Anielskiego nie uwolniono właściwie, tylko pozwolono na przeniesienie go z Pawiaku do prywatnej lecznicy.

Z tą wiadomością znalazł się na ulicy książę, nie zdradziwszy przed nikim swego nazwiska.

Dopóki wszystko się nie wyjaśni ostatecznie, uznał za stosowne, być pod tym względem przezornym. Wszakżeż jego samego ścigano po owej nocy fatalnej w pałacu w Alejach Ujazdowskich...

Sprawa jego nie była jasną.

Mogło się zdarzyć, że dla śledztwa zechcieliby jego samego przytrzymać w więzieniu.

Myśląc o tem, spostrzegł zdaleka jakąś dziwną scenę na ulicy przed bramą więzienną.

Policya przytrzymała dorożkę, w której siedział młody człowiek bez kapelusza. A jednocześnie dobiegł do niej od strony bramy więziennej mężczyzna, który w ręku trzymał płaszcz i kapelusz, mimo, że był sam w zarzutce i w kapeluszu.

Nawinął się tam i strażnik z Pawiaka.

Czerski zobaczył, że ten nieznajomy mu mężczyzna, z chwilą, gdy dobiegł do dorożki, pokazał policyantowi jakiś papier, przyczem i strażnik coś rękami wymachiwał, stójkowego usuwając na bok. Pan zaś siedzący w dorożce, odebrał z rąk tamtego kapelusz i płaszcz, ubrał się, poczem dorożka z obu mężczyznami pędem odjechała.

Wszystko to stało się tak błyskawicznie, że książę, który obserwując bacznie całą scenę, zmierzał ku nim, ani się spostrzegł, kiedy dorożka ruszyła z miejsca.

Przyśpieszył kroku. Zaczepił po drodze wracającego dozorcę pytaniem w przelocie:

— Czy to był doktór Anielski?

— Tak, tak... On, ale już uwolniony — odparł mu strażnik, który chciał mówić coś więcej, jednakże Czerski przebiegł ulicę w podskokach, krzyknął na przejeżdżającą opodal dorożkę wolną i wskoczywszy w nią, pojechał za uciekającymi mu w ciemnościach nocy.

Pogoń była trudna, ponieważ Anielski ze swym towarzyszem ujechali już sporo drogi. Na szczęście zdala woźnica Czerskiego ciągle jeszcze widział ich dorożkę i mógł łatwo się oryentować, gdzie skręcają, mimo, że ruch kołowy był ogromny w tej chwili w ulicach, któremi przejeżdżali i co trochę trzeba było przystawać, to znowu prześcigać inne powozy, o ile to się gdzie dało.

Zakręcili na Nowy Zjazd.

— Teraz zaczynam rozumieć — pomyślał Czerski — jadą na kolej... Ale na który dworzec... Chyba że na Petersburski... Nic innego, tylko Anielski wie, że żona jego jest w Rożniewie i jedzie on tam gwałtem przeszkodzić jej małżeństwu z baronem Goldenthalem... Dogonię go w porę choćby na samym dworcu... Już jest niedaleko... I powstrzymam od niepotrzebnej podróży...

Zamieszanie powstało wśród licznych dorożek przed Zamkiem i stanęli nagle. Książę zniecierpliwiony wstał, patrząc w dal przed siebie. Dorożki z Anielskim już nie widział.

Sięgnął po zegarek.

— O, za kilka minut odchodzi pociąg!

I potrząsając za ramię dorożkarza, zawołał:

— Rubla na piwo dostaniesz, jeżeli dojedziemy na foksal petersburski przed odejściem pociągu...

Dryndziarz zaciął konia i w bok gwałtownie skręciwszy, minął od razu sznur dorożek, poczem u wjazdu na most na Wiśle stanął.

— Dalej nie można! — krzyknął zrozpaczony.

Książę zerwał się znowu z siedzenia, wyciągnął szyję, przed siebie patrząc uważnie, ale nic nie mógł rozpoznać, jak tylko mnóstwo wozów skłębionych. Zamieszanie było wielkie. Słychać było krzyki głośne, przekleństwa padały raz za razem z ust rozgniewanych woźniców.

Trudno było dowiedzieć się, co zaszło.

Dryndziarz zapewniał księcia, że, zdaje się, koń padł u jakiegoś ciężkiego wozu pośrodku mostu i ten wypadek musiał zatamować komunikacyę.

Ten i ów rozpaczał nad tem, że gotów spóźnić się do pociągu. Ale Czerski czekał cierpliwie z zegarkiem w ręce minutę, licząc na to, że dorożkarz jego odrobi jeszcze to spóźnienie.

Po minucie zaczął się niecierpliwić. A kiedy sprawa przewlekała się zanadto, wyskoczył z dorożki i zwymyślał stójkowego. Na nic mu się to nie zdało.

Znowu kilka minut następnych upłynęło na daremnem czekaniu.

Czerski przyskoczył do rewirowego i oburzał się, czemu porządku policya nie zrobi w takim wypadku prędzej, żeby nie tamować na tak długo komunikacyi przez most do dworców kolejowych. Rewirowy uspokajał go, że natychmiast będzie można puścić dorożki.

Więc książę wrócił na miejsce, siadł i czekał, nie odrywając oczu od zegarka.

Nareszcie ruszono. Ale nie poszło to tak łatwo. Z chwilą, gdy znaleźli się przed dworcem petersburskim, właśnie rozległ się świst przeraźliwy parowozu i pociąg odszedł.

Dorożka wioząca Anielskiego znajdowała się na moście już poza miejscem, w którem katastrofa zatamowała chwilowo komunikacyę. To też w porę dojechał on ze swym towarzyszem — a tym był naturalnie dr Wrzesiński — na kolej, kupili bilety i zdążyli wsiąść na pociąg. Byłby ich Czerski doścignął przed odjazdem, gdyby nie fatalny wypadek na moście.

Zrazu zastanawiał się nad tem Czerski, co mu począć wypada. Wracać do miasta i opowiedzieć żonie Anielskiego, co zaszło, czy też następnym pociągiem ścigać uciekiniera.

Mógł wprawdzie telegrafować do najbliższej stacyi. Ale jak i co... Ostatecznie wśród podróżnych dopytanoby się, kto jest adresatem, jednakże zachodziła obawa, że Anielski gotów się nie przyznać, iż depesza jest dla niego, podejrzewając, iż może idzie o jaki pościg za nim.

Książę nie znał jego sprawy dokładnie. Nie wiedział na jakiej podstawie uwolniono go z Pawiaku. Wszak mogła to być mimo wszystko ucieczka. Papier urzędowy, świadczący o wypuszczeniu go z więzienia, mógł być sfingowany, mógł być podrobiony...

Kto był jego towarzyszem, nie miał co do tego pewności Czerski. Gdyby zaś liczył na to, że był nim Wrzesiński, mógłby był depeszować pod jego adresem...

Zdecydował się najbliższym pociągiem puścić się za nimi w pogoń.

Tak też uczynił. Ale dopiero nazajutrz zdołał dopędzić ich. Sam jak szalony biegał między podróżnymi, szukając uchodzącego za obłąkanego doktora.

Nie było go nigdzie w pociągu. Szukał po peronie również naprożno. Wreszcie wpadł do bufetu.

Tam właśnie przy stole restauracyjnym siedziało dwóch młodych mężczyzn przy zakąsce.

W jednym z nich poznał książę zaraz właśnie Anielskiego. Podszedł więc do nich zdyszany, ale zadowolony, że dogonił go nareszcie.

Anielski podniół wzrok na niego i natychmiast zerwał się z krzesła.

Jak w upiora wlepił w niego oczy i cofał się wstecz blady śmiertelnie, aż runął na podłogę bez zmysłów.

Poskoczył ku przyjacielowi Wrzesiński przerażony tą niespodzianką. Ale zanim wziął się do cucenia nieprzytomnego, odwrócił się ku obcemu mężczyźnie, którego widok wywarł tak potężne wrażenie na biednym Anielskim.

Nie znał tego człowieka i ani przeczuwać nie mógł, kto nim jest.

Lecz ten do niego sam się zwrócił w tejże chwili, szepcząc:

— Nazwisko moje Czerski... To panu powie wszystko. Czy mówię z doktorem Wrzesińskim?

— Tak jest - - odparł przyjaciel Jana, nachylając się nad nieprzytomnym z flakonikiem eteru w ręce.

A wtedy książę rzekł do niego:

— Ścigam panów od wrót Pawiaku... Wstrzymajcie podróż, bo zapewne do Rożniewa jedziecie.

Potakująco skinął mu na to głową Wrzesiński.

— Otóż pani Wandy już tam mąż jej nie zastanie. Wywiozłem ją wraz z Tadzikiem, dzieckiem ich... do Warszawy... Czekają na męża i ojca w hotelu...

Wśród tego pociąg odszedł ze stacyi, a służba restauracyjna zbiegła się na miejsce wypadku.

— Ale nic, nic... omdlał tylko — tłómaczył kelnerom Wrzesiński — sam sobie dam radę — mówił, chcąc się pozbyć niepotrzebnej gawiedzi.

Ale zaledwie tylko Jan oczy otworzył i wzrok jego padł na Czerskiego — omdlał powtórnie.

Zrozumiał to Wrzesiński i poprosił księcia, by się usunął z sali na pewien czas, dopóki on nie przygotuje Jana na wiadomości, które mu Czerski przywiózł.

Anielski oprzytomniawszy, nie chciał w żaden sposób wierzyć w to, co mu przyjaciel mówił. Wyobrażał sobie, że jest w tem jakiś podstęp. W pierwszej chwili nawet nie mógł odżałować, że jego pociąg już odszedł bez niego.

Powoli dopiero zaczął zastanawiać się nad wszystkiem.

— I mówisz, że Tadzik żyje i zdrów jest i przy matce — pytał wreszcie.

— Uspokójże się, Janku... Książę ci to powtórzy... Czy mogę go poprosić tutaj...

Za chwilę już rozmawiał doktór Anielski z księciem. Ten go zapewnił, że osobiście udał się do Rożniewa z Tadzikiem, żeby oddać go matce.

— Życiem swojem ręczę panu, doktorze, iż dziecko jest zdrowiusieńkie... Matka cieszy się niem niewymownie... Tylko tęskni okropnie za panem...

— Tęskni? I pragnie mnie zobaczyć?

— Ależ czeka na pana niecierpliwie z niepokojem... Wszak mogła pana o tyle godzin wcześniej ujrzeć, gdybym był panów dogonił przed odejściem tego pociągu z Warszawy...

— A zatem, to pan ją sam przywiózł z Rożniewa do Warszawy... Ją i dziecko... I nikogo pan nie zastał w Rożniewie?

— Nikogo. Ojciec pani Wandy wyjechał co dopiero przed mojem tam przybyciem, a jeszcze wcześniej opuścił zamek rożniewski baron Goldenthal...

Twarz bladego doktora nabrała teraz barw silnie czerwonych, gdy z ust księcia padło to nazwisko...

— Przypuszczalnie — dodał z naciskiem Czerski — opuścił bankier Rożniewo po raz ostatni i nie powróci już do niego... Pojechał pośpiesznie do Warszawy, a bawił u państwa Rożniewskich nieco dłużej niż zamierzał...

Znak pytania zawisł na ustach wpatrzonego w księcia doktora.

— Czas ten zresztą przeważnie w łóżku przepędził...

— Aż tak mu się źle wiodło — wyrwało się naraz Wrzesińskiemu, który nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

— Uważacie panowie, przytrafiło się baronowi jakieś niemiłe zdarzenie, czy nawet i nieszczęście... Dość, że musiał po niem wypoczywać w łóżku, a wreszcie odjechał cały pobandażowany...

Obaj młodzi lekarze słuchali go z zaciekawieniem, nie mogąc odgadnąć, co się też mogło takiego przytrafić bankierowi w domu jego niedoszłego teścia.

— Ale już mu jest o tyle dobrze, iż chodzi po Warszawie nie w bandażach...

— Czy pan go widział może?

— Nie. Ja go nie spotkałem, lecz mówiono mi, że przychodził na Pawiak w stanie pomyślnym napozór.

— Ach, to on do więzienia przychodził w sprawie Marylki Reman, jak się domyślam — zawołał Wrzesiński.

— Po powrocie do Warszawy — rzekł na to Czerski — zrobimy wszystko możliwe dla uwolnienia tej dziewczyny z więziennej celi...

Dwaj lekarze zamienili z sobą spojrzenia, poczem Anielski rzekł poważnie:

— Panna Reman jest już nareszcie na wolności...

Książę osłupiał na te słowa.

— Odzyskała ją jednocześnie ze mną, jakkolwiek w odmienny sposób...

Teraz książę przypomniał sobie ową twarz kobiecą, która go tak zaintrygowała, w chwili ucieczki Anielskiego, w bramie więzienia. I ze wspomnieniem swojem podzielił się z towarzyszami.

— Nie mylisz się książe wcale — powiedział na to Anielski. — Musiała ona wtedy przechodzić tamtędy istotnie... Zaledwie kilkadziesiąt kroków ujechałem dorożką jeszcze sam...



...Jego śmiałe ruchy nie zwróciły uwagi strażników, którzy wzięli go za kogo innego i nie powstrzymywali. Ale za to człowiek, którego wpuszczono do bramy więziennej, cofnął się nagle, obejrzał za wychodzącym i krzyknął: — Panie doktorze!

— Bez kapelusza — wtrącił, śmiejąc się Wrzesiński.

— Gdy natknąłem się na nich... Jechała również dorożką w towarzystwie jednego z funkcyonaryuszów więziennych, znanego mi z widzenia.. Nie pojmowałem, co to może znaczyć... Wychyliłem się ku nim. Oczy nasze od razu spotkały się. A wtedy ona kazała zatrzymać. Wyskoczyła ze swojej dorożki i szepnęła mi, że zdołała uciec z pomocą tego człowieka... Ucieszyła się, że i ja jestem wolny, a potem silnie rękę mi uścisnęła, przebaczając wszystko... Ich dorożka ruszyła pędem dalej, moja zaś powstrzymywana przez sznur wozów skupionych w tym punkcie, nie mogła jeszcze ruszyć z miejsca, gdy naraz policyant, ujrzawszy mnie bez kapelusza, wskoczył na stopień i już mnie aresztował...

— Usłyszał on właśnie od strażników przed bramą Pawiaku, że jeden z więźniów uciekł — rzekł Wrzesiński — więc nie dziw, iż widząc człowieka stamtąd odjeżdżającego dorożką z odkrytą głową, uznał go za podejrzanego... I byłby ściągnął biednego Jana z powrotem do więzienia, gdybym akuratnie za nim nie wybiegł na ulicę... Udowodniłem papierem z podpisem dyrektora, że Jan ma prawo opuścić Pawiak, przenosząc się pod moją opieką i gwarancyą do jakiejś prywatnej lecznicy. A wtedy dopiero puścili go...

Rychło doczekano się na stacyi pociągu, któryby ich zawiózł z powrotem do Warszawy.

Wsiedli wszyscy trzej, ale całą drogę zarówno Czerski jak Wrzesiński spali mimowolnie ze znużenia, a tylko Anielski czuwał, wyobrażając sobie, że podróż trwa już trzy doby. Nie dziw, że mu się ten czas tak dłużył. Myślą był przy Wandzie i Tadziku, a godziny mijały, zanim mógł ujrzeć nareszcie żonę i synka...

Aż odetchnął na widok peronu dworca petersburskiego w Warszawie, przed który pociąg zajechał.

Wzięli dwukonną dorożkę i jechali razem we trójkę do hotelu. Tu książę wysiadł z Anielskim, a Wrzesiński pozostał i jednocześnie uściskawszy Jana, który mu stokrotnie dziękował za wszystko i prosił, żeby nazajutrz przyszedł ich odwiedzić— kazał wieźć się do domu.

Książę wyprowadził Jana tylko na piętro i w milczeniu prawą rękę podając mu na pożegnanie, lewą wskazał drzwi...

Poskoczył ku nim Anielski, ale przed samym progiem zawahał się, powietrza w płuca zaczerpnął, jakby chciał sobie sił dodać i zniknął z oczu Czerskiemu.

Z kurytarza usłyszał książę krzyk, jaki musiał wydrzeć się naraz z piersi trojga ludzi, a wtedy odszedł Czerski z głową na dół zwieszoną, pod ciężarem smutnych myśli o swojej przepadłej jedynaczce...

Anielski od drzwi rzucił się ku krzesłu, na którem ujrzał siedzącą Wandę, padł jej do kolan z krzykiem, a jednocześnie z ramionami żony, które mu szyję ścisnęły kurczowo, chwyciły go za głowę drobne rączki Tadzika...

Wizyta.

Baron Goldenthal przesiadywał w restauracyi, w której widywał się z osobami, mającemi mu ułatwić sprawę dostania w ręce Remana.

Nie wątpił ani na chwilę, że zastawił sieci swoje tak zręcznie, iż musi mu ptaszek wpaść w sidła.

Właśnie czekał na człowieka, który miał mu przynieść dobre nowiny. Popijał wino i palił cygaro hawańskie.

Kelner, któremu imponowały wysokie napiwki bankiera, z niskim ukłonem podał baronowi najświeższego kuryerka.

Goldenthal przejrzał telegramy, wiadomości giełdowe i niczem nie zainteresował się bardziej, więc już miał odłożyć na bok gazetę, gdy raz jeszcze spojrzał na wiadomości kronikarskie.

Uderzyła go notatka krótka z tytulikiem: „Ucieczka z Pawiaku“.

Jednym tchem przeczytał i aż rzucił się na krześle pod wpływem jej treści.

— Więc po wszystkiem!

Przeczytał on wiadomość, że jeden z funkcyonaryuszów więziennych zbiegł, uprowadzając z sobą uwięzioną tam od pewnego czasu Maryą Reman.

Wściekłość go opanowała. Zagryzał wargi grube i pięści zaciskał w złości.

— A to bałamut dziewczyna... Umizgać musiała się do niego, aż go tak skokietowała, że się zdecydował uciec z nią.. (C. d. n.).

Zgon urzędnika patryoty.

Bolesną i dotkliwą stratę poniosło znowu społeczeństwo nasze przez śmierć wielce zasłużonego męża, urzędnika-patryoty, śp. radcy dworu Piusa Twardowskiego,



Zgon urzędnika patryoty: Ś. p. radca dworu Pius Twardowski, zmarły we Lwowie w 78 r. życia.

Śp. Twardowski, (oto jego portret) urodzony w r. 1828 w Porchowej na Podolu, ukończył gimnazyum OO. Bazylianów w Buczaczu, następnie uczęszczał na wydział prawniczy uniwersytetów we Lwowie i w Wiedniu. Po ukończeniu studyów wstąpił do ministeryum finansów, a stamtąd przeniósł się do jeneralnej dyrekcyi fabryk tytoniu i doszedł do rangi radcy dworu. Wysłużywszy pełnych 40 lat, przeszedł na emeryturę i osiadł we Lwowie.

Śp. radca Pius Twardowski spędził większą część czynnego swego życia w Wiedniu, bo przeszło 48 lat. Mimo jednak, iż był wśród obcych i na obcej ziemi, mimo, iż był urzędnikiem państwowym, pozostał zawsze gorącym i gorliwym patryotą. Dom jego w Wiedniu był przez długie lata jednem z centrum tamtejszej Polonii. On założył stow. „Ognisko“ i był zawsze jego czynnym członkiem, a ostatnio honorowym prezesem; on otaczał szczerą i serdeczną, prawdziwie ojcowską opieką młodzież akademicką polską, przebywającą na studyach w Wiedniu, wyrabiał jej stosunki, starał się o zajęcie dla uboższych. On wreszcie pierwszy rzucił hasło opieki nad kościołem na Kahlenbergu, jego jest niepodzielną zasługą, iż kościółek ten pamiątkowy przeszedł w ręce OO. Zmartwychwstańców, on był inicyatorem obchodów na cześć Sobieskiego w rocznicę zwycięstwa pod Wiedniem.

A i we Lwowie, kiedy jako emeryt opuścił Wiedeń, mimo sędziwego wieku — liczył wówczas lat 70 — brał czynny udział we wszystkich sprawach narodowych i społecznych; nie cofał się przed żadnym trudem, przed żadną ofiarą, młodszym służąc przykładem, jak pojmować należy obowiązki obywatelskie. Osiwiały, a zawsze ruchliwy i krzepki, pełen młodzieńczej energii i zapału, zjawiał się jeden z pierwszych na rozmaitych posiedzeniach i komitetach, chętny zawsze do pracy i rady. Pracował także przez kilka lat w Towarzystwie Szkoły Ludowej (w Kole pań). Dopiero w ostatnich kilkunastu miesiącach usunął się zupełnie od pracy publicznej, zapadł bowiem tak mocno na zdrowiu, że z domu nie wychodził.

Cześć pamięci szlachetnego męża.

* * *

Zmarły osierocił żonę, dwu synów. prof. uniw we Lwowie, dr. Kazimierza Twardowskiego, i urzędnika prezydyalnego ministerstwa handlu Juliusza, oraz dwie córki.

Następca Kodamy.

W poprzednim numerze pisaliśmy obszernie o wielkich zasługach, jakie dla Japonii położył świeżo zmarły nagle generał Kodama, jeden z najgenialniejszych strategików świata współczesnego.

Obecnie zamianowano w Tokio generała Oku szefem sztabu generalnego na miejsce Kodamy.

Br. Jasukata Oku ma za sobą świetną karyerę wojskową. Od najmłodszych lat brał on udział w stłumianiu wielu japońskich walk wewnętrznych, jako komendant piątej dywizyi odbył kampanię z Chinami, a w wojnie rosyjsko-japońskiej dowodził on, jak wiadomo, chlubnie drugą armią, prowadząc ją zwycięzko od Liaotungu aż do ostatnich chwil walki.

Majstersztyk ślusarski.

Przemysł ślusarski rozwinął się w ostatnich latach w Krakowie tak dalece, że osiągnął poziom iście artystyczny. Wspaniałe okazy wyrobów ślusarskich na wystawie metalowej, urządzonej w Krakowie przed dwoma laty, budziły powszechny zachwyt. Wtedy już wyróżniały się na wystawie okazy, nadesłane przez artystyczną pracownię ślusarską p. Adama Staszczyka, znanego rękodzielnika, który oprócz laurów rąk własnych, zbierał już niejednokrotnie wawrzyny sceniczne jako poeta i autor dramatyczny. Artysta pióra, tchnął p. Staszczyk w współpracowników swoich estetyczne pragnienia i postawił swą pracownię na wyżynie faktycznie artystycznej.

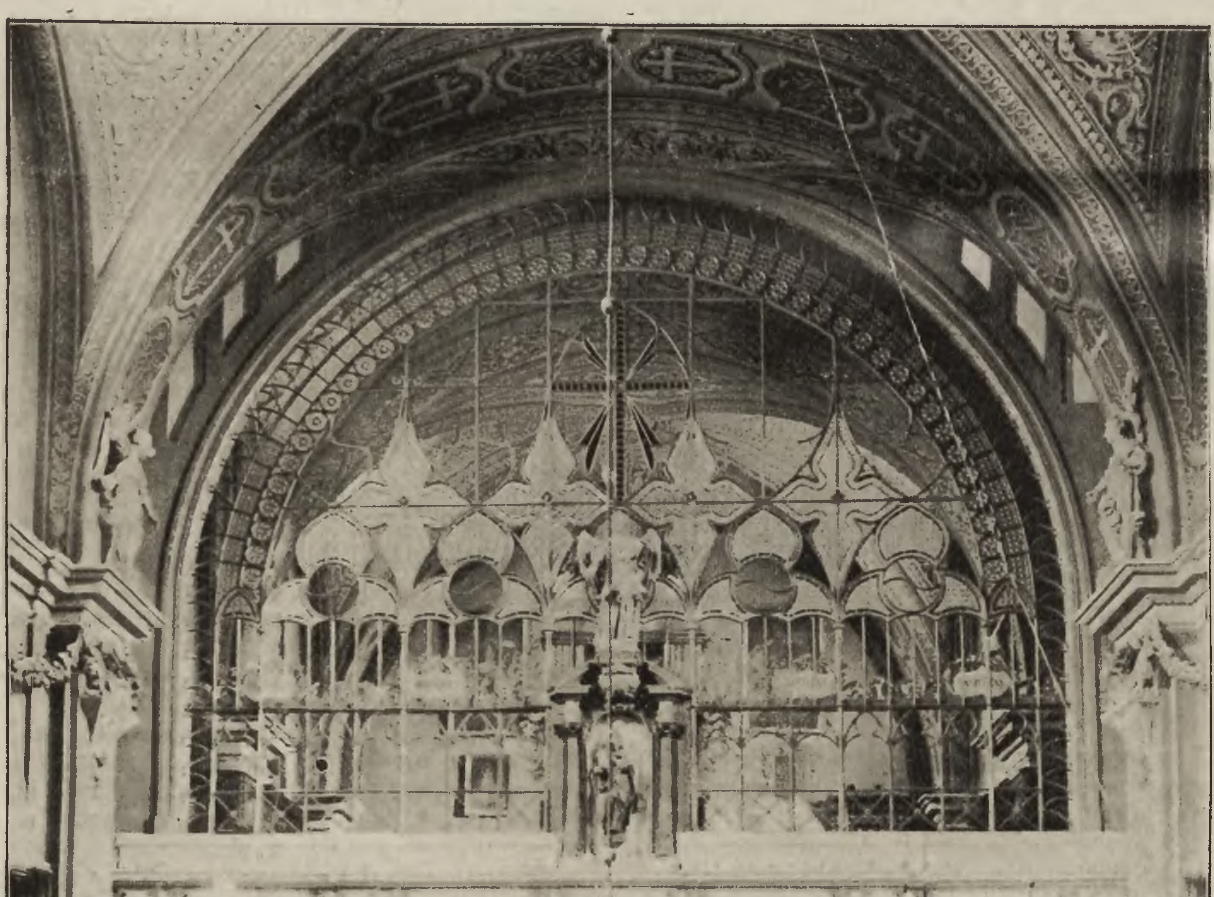


Następca Kodamy: Znakomity strategik, generał Oku, który po śmierci generała Kodamy został szefem sztabu generalnego w Japonii.

Najnowszem dziełem ślusarskiego kunsztu, wyszłem z pracowni p. Staszczyka, jest ustawiona niedawno w starożytnym kościele PP. Norbertanek na Zwierzyńcu krata oddzielająca chór zakonny od głównej nawy kościoła. Krata ta musi zadowolić najwybredniejsze nawet wymagania; wykonana stylowo, stanowi jedną z artystycznych ozdób kościoła.

Jak widać obok na załączonej illustracyi, krata ta stanowi olbrzymie okno w stylu gotyckim, ozdobione filarkami, a zakończone kapitelami gotyckimi w kształcie koron; łuki zbiegające się górą, ozdobione są ręcznie kutemi kwiatami; środkiem widnieje wielki krzyż. Rozmiary okna, wykonanego z kutego żelaza, wynoszą u podstawy 10 metrów 15 centymetrów, wysokość zaś w łuku 7 metrów 75 centymetrów. Krata sięga od parapetu chóru, aż pod sklepienia nawy. W dolnej części znajduje się dziesięć oszklonych drzwiczek, które się otwierają w czasie kazań.

Jest to jedyny w Krakowie, a może w Polsce całej majstersztyk ślusarski. Krata ta wykonana została pod kierunkiem p. Staszczyka, według projektu architekta p. dra Jana Sas Zubrzyckiego, pod którego opieką przeprowadzono połączone z tru-



Fot. dla „Nowości Illustrowanych“, aparatem redakcyjnym W. Lis.
Majstersztyk ślusarski: W starożytnym kościele klasztornym PP. Norbertanek na Zwierzyńcu w Krakowie, nowa krata oddzielająca chór zakonny od nawy kościelnej; dzieło kunsztu ślusarskiego z pracowni Adama Staszczyka, według projektu architekta dra Jana Zubrzyckiego.

dnościami technicznemi wstawienie i obmurowanie okna. Oszklenie ze szklanych kółeczek kolorowych, oprawnych w ołów — kółeczek tych jest w całem oknie kilkanaście tysięcy — pochodzi z pracowni p. Pieniążka. O nakładzie pracy, jaką pochłonęło wykonanie okratowania, da w przybliżeniu pojęcie choćby ten fakt, że oszklenie jej trwało całe trzy tygodnie.

Całość, jak widać na załączonej obok fotografi, przedstawia się imponująco i wspaniale. Zwłaszcza w południe, kiedy promienie słońca, rozsypią się niby błędne ogniki po owych szklanych kółeczkach, całe okno drży prawie od lśnień, jakby z rubinów było i dyamentów wykonane Jest to jednem słowem wspaniały okaz artystycznego naszego przemysłu, który pracowni p. Staszczyka przynosi zasłużoną chlubę.

Zmiana w komendzie XI korpusu.

Ustąpieniu z komendy lwowskiego korpusu generała porucznika Rudolfa Brudermanna (portret jego zamieściliśmy w poprzednim numerze), powołanego, jak wiadomo, na jedno z najzaszczytniejszych i najbardziej odpowiedzialnych stanowisk wojskowych w monarchii (generalnego inspektora kawaleryi), towarzyszy szczery żal wszystkich, którzy czy to z urzędu, czy nieoficyalnie mieli sposobność stykać się z ustępującym komendantem korpusu. Podwładni tracą w nim szefa, który umiał zawsze pogodzić ściśle wymagania służby z najdalej posuniętą względnością, a tam gdzie stosunki tego wymagały, z niezwykłą wprost humanitarnością. To też korpus lwowski zachowa dla gen. por. Brudermanna żywą i trwałą wdzięczność.

Opróżniony przezeń posterunek we Lwowie obejmuje generał porucznik Karol hr. Auersperg (oto jego portret). Urodzony w listopadzie 1848 roku w Pradze, syn hr. Franciszka Ksawerego kształcił się w krakowskiej szkole kadeckiej w Łobzowie i w Akademii wojskowej w Wiener Neustadt. Wstąpił dnia 1 września 1861 do 1 bat. strz., a w r. 1865 przeszedł do 3 p. uł. Kampanię w r. 1866 odbył w randze porucznika. Na stopień rotmistrza awansował w roku 1874 w 6 p. dragonów. — W roku 1884 odznaczony za gorliwą służbę krzyżem zasługi wojskowej, posunął się na stopień majora. W trzy lata później został podpułkownikiem, a w roku 1890 jako pułkownik objął komendę pułku huzarów Nadasdego.



Zmiana w komendzie XI. korpusu: Generał porucznik Karol hr. Auersperg, nowomianowany w miejsce generała Brudermanna głównodowodzącey korpusem XI we Lwowie

W roku 1892 mianowany został hr. Auersperg komendantem państwowego Instytutu ekwitacyi. W roku 1894 otrzymał order Żelaznej Korony III kl. Od roku 1896 sprawował komendę brygady kawaleryi w Miskolczu na Węgrzech, w r. 1899 zaś objął komendę dywizyi jarosławskiej i awansował na stopień generała-porucznika. W jesieni roku zeszłego został hr. Auersperg mianowany komendantem korpusu w Zagrzebiu.

Hr. Auersperg posiada od r. 1903 godność kawalera orderu Leopolda. Nadto jest hr. Auersperg komandorem książęco-brunszwickiego orderu Henryka Lwa i król. saskiego orderu Albrechta, a kawalerem król. pruskiego orderu Czerwonego Orła.

W rocznicę stracenia.

Lat temu 59 w dniu 31 lipca r. 1847 na wzgórzu Kleparowskiem we Lwowie zginęli śmiercią męczeńską dwaj bojownicy wolności, Teofil Wiśniowski i Józef Kapuściński, powieszeni na szubienicy z rozkazu ówczesnego rządu anstryackiego, dla którego patryotyczna ich działalność wydała się wielką zbrodnią stanu.

Mieszczaństwo lwowskie i młodzież rękodzielnicza tamtejsza rokrocznie pamięta o tej krwawej rocznicy, w którą odbywa się zawsze obchód patryotyczny, poświęcony czci męczenników narodowych na ich grobie, w miejscu stracenia, gdzie dziś od lat kilku wznosi się pomnik.

W tym roku uroczystości w rocznicę rozpoczęły się dwoma nabożeństwami, odprawionemi równocześnie w katedrze i w kościele OO. Dominikanów.

W kościele archikatedralnym, gdzie komitet polskiej młodzieży urządził nabożeństwo, złożono na katafalku duży cierniowy wieniec z kartami i dużemi wstęgami o barwach narodowych z napisem: „Męczennikom wolności — Młodzież polska“. W środkowej nawie zgromadziły się delegacye stow. „Skała“ ze sztandarem, stow. im. Kościuszki, korporacyi cukierników i piekarzy, krawców i kuśnierzy, malarzy, ślusarzy i lakierników, korporacyi murarskiej i korporacyi blacharzy, mosiężników, bronzowników, rękawiczników itp. Po nabożeństwie odśpiewano pieśni.

W kościele OO. Dominikanów przybrała młodzież Tow. im. Kilińskiego katafalk bronią powstańczą, na froncie umieszczono portrety Wiśniowskiego i Kapuścińskiego i wieniec z zieleni. Nabożeństwo poświęcono pamięci męczenników, straconych we Lwowie i członków Rządu narodowego, straconych w Warszawie 5 sierpnia 1863 (Trauguta, Krajewskiego, Toczyńskiego, Zieliń-



Fot. umyślnie dla „Nowości Illustrowanych“ Marek Münz, Lwów.

W rocznicę stracenia: Obchód patryotyczny w dniu 31 lipca pod pomnikiem na miejscu stracenia Teofila Wiśniowskiego i Józefa Kapuścińskiego na wzgórzu Kleparowskiem we Lwowie.

skiego i Jeziorańskiego). Delegatów swych przysłało tu ze sztandarem stow. „Gwiazda“, korporacya rymarzy i siodlarzy, ochotnicza straż ogniowa „Sokół“, byli też członkowie Tow. im. Kilińskiego ze sztandarem.

Po nabożeństwach obydwa wieńce zawiozła młodzież dorożkami na górę stracenia i złożyła je na pomniku Wiśniowskiego i Kapuścińskiego.

Wieczorem na górze stracenia zgromadziły się tysiące publiczności. Część młodzieży zebrała się przedtem na placu Halickim i stąd udała się w pochodzie niosąc sztandar z „Orłem białym“ i wieniec z szarfami narodowemi na górę stracenia. W oddaniu hołdu męczennikom wzięli udział także członkowie partyi socyalno-demokratycznej. Pomnik oświetlono lampionami a przy blasku pochodni odśpiewano, jak co roku, pieśni patryotyczne i rewolucyjne. Obchód wypadł poważnie i spokojnie.

Sebastopol północy.

Tak nazwała prasa europejska twierdzę Sveaborg, leżącą w zatoce finlandzkiej na jednej z wysepek, zamykających port helsingforski, nazwała ją zaś tak w tej myśli, iż bunt, jaki wybuchł między załogą wojskową w Sveaborgu i doprowadził do formalnego oblężenia przez wojska lądowe i flotę, jest w biegu wypadków analogią do krwawych dni sebastopolskich, nad któremi z wieży pancernej „Potemkina“ powiewał po raz pierwszy na statku wojennym sztandar rewolucyi. Bunt wojskowy obecny w Finlandyi przybrał szersze rozmiary i istotnie obok zajść sebastopolskich stanowi największy może tego rodzaju wypadek w całym przebiegu rosyjskiego zamętu.

Wiadomości ze Sveaborgu, urywkowe i niejasne, nie pozwalają skreślić nawet przybliżonego obrazu wypadków, ani ich przebiegu. Na podstawie depesz pism petersburskich, dochodzimy do następującego zestawienia faktów:

Bunt wybuchnął w ubiegły poniedziałek. Hasłem wybuchu był pogrzeb żołnierza z oddziału minerów; opowiadano głośno, że żołnierz ów był ofiarą zbyt uciążliwej służby wojskowej. Widząc ogólne niezadowolenie, dowódca kazał rozbroić 200 żołnierzy. Było to wieczorem. Rozbrojenie oddziału minerskiego wywołało wrzenie wśród artyleryi fortecznej. Około godziny 10 wrzenie to przeszło w bunt jawny. Żołnierze artyleryi zaaresztowali



Tydzień opery lwowskiej w Krakowie: Helena Oleska.

kilku oficerów, utworzyli na poczekaniu własny zarząd, zajęli wyspy Michajłowską, Artyleryjską i Inżenierską, zawładnęli wszystkiemi kartaczownicami, znajdującemi się w warowniach na tych wyspach. Komunikacyę telegraficzną i telefoniczną przerwano. Noc z poniedziałku na wtorek przeszła w grozie najstraszniejszej. Władza wojskowa sprowadziła z pobliskiego Helsingforsu cztery kompanie piechoty i dwie strzelców. Wywiązała się walka. Zbuntowani strzelali na miasto, aby nie dopuścić do nagromadzenia większej ilości wojska. We wtorek bunt przeniósł się do koszar marynarskich w porcie helsingforskim. Żołnierze marynarki wywiesili czerwoną flagę. Równocześnie ostrzeliwano warownie na wyspach, zajętych przez zbuntowane wojsko. Strzelano od strony lądu i z okrętów wojennych od strony morza. Warownie zbuntowane odpowiadały strzałami. Władze zarządziły odcięcie półwyspu Sveaborg od Helsingforsu, ustawiając pomiędzy miastem a zbuntowanym portem silne oddziały piechoty.

Przez cały wtorek, oraz w ciągu nocy na środę. trwała bezustannie wymiana strzałów pomiędzy wyspami a resztą twierdzy. Według depesz z Helsingforsu, ofiarą strzałów padło po obu stronach około 500 osób zabitych i rannych. W środę nad ranem strzały przycichły.

* * *

Z telegramów wiadomo, że na pomoc załodze Sveaborga pospieszyła fińska czerwona gwardya. Pomoc ta głównie polegała na przerwaniu przez gwardzistów połączenia kolejowego Helsingforsu z Wyborgiem i Petersburgiem przez wysadzenie paru mostów. „Czerwona gwardya“, (nazwana tak od czerwonych czapek, noszonych przez członków) stanowi coś w rodzaju prywatnej milicyi obywatelskiej i została utworzoną w celu bronienia swobód konstytucyjnych Finlandyi. Rosyjskie pisma zachowawcze, specyalnie „Nowoje Wremia“, niejednokrotnie nawoływały rząd do położenia kresu istnieniu tej instytucyi, stanowiącej podług tej gazety, kadry przyszłych powstańców w walce o niepodległość Finlandyi. Udział gwardyi w buncie



Sebastopol północy: Bunt wojskowy w Sweaborgu w Finlandyi: fragment z walk przed twierdzą.

sveaborskim naraził poważnie jej egzystencyę, nic więc dziwnego, że ogół Finlandczyków, nie lubiących wyciągać dla kogoś kasztanów z ognia, oburzony jest na zapalne żywioły, które skłoniły gwardyę do tego kroku.

* * *

Warownia Sveaborg, jedna z najsilniejszych w Rosyi, zwana „Gibraltarem północy“ leży nad



Tydzień opery lwowskiej w Krakowie: Primaballerina W. Staszko.

toka fińską, w bliskiem sąsiedztwie z Helsingforsem, stolicą Finlandyi. Cała warownia składa się z łańcucha kilkunastu wysp, oddzielnie obwarowanych. Większych wysp jest pięć. Komunikacyę utrzymują między niemi za pomocą mostów. Wyspy te stanowią główne ośrodki w pierścieniu warowni. Na jednej z nich, Vargo, znajduje się szkoła marynarska, arsenał i warsztaty okrętowe. Czy pomiędzy zajętemi przez zbuntowanych żołnierzy wyspami znajduje się jedna z większych, niewiadomo, noszą one bowiem inne nazwy w języku szwedzkim, inaczej zaś nazywają się w wykazach i depeszach urzędowych. Warownia Sveaborg należy od roku 1808 go do Rosyi. W czasie wojny krymskiej wyrownię tę bombardowały połączone floty, angielska i francuska, bezskutecznie. Od tego czasu obwarowania jeszcze bardziej wzmocniono. Załoga twierdzy wynosi około 6000 żołnierzy.

Tydzień opery lwowskiej w Krakowie.

Ubiegły tydzień poświęcono przeważnie lekkiej muzyce, dając „Druciarza“ „Lysistratę“ i „Dzieweczynę z fiołkami“ z p. Łopatyńską w roli tytułowej. Poza tem delektowali się krakowscy melomani dwukrotnie „Opowieściami Hoffmanna“, prześlicznem dziełem muzycznem Offenbacha, tudzież „Aidą“, w której przedstawiła się gwiazda opery lwowskiej, pani Oleska w partyi Amneris (podobiznę jej podajemy w dzisiejszym numerze). Muzykalny Kraków poznał p. Oleską z najlepszej strony jako śpiewaczkę, obdarzoną nietylko wspaniałym, bardzo sympatycznie brzmiącym materyałem głosowym, którym włada po mistrzowsku, lecz także jako artystkę myślącą i czującą, a do tego rutynowaną aktorką. W partyi Amneris, ujęła p. Oleska audytoryum nietylko wybitnymi zaletami głosu i gry scenicznej, lecz także niezwykłą egzotyczną pięknością oblicza i wyróżniającym się wdziękiem majestatycznej postaci. Partyę nieszczęśliwej w miłości, córy Faraonów objęła p. Oleska po nieocenionej artystce i dzielnej śpiewaczce p. Kasprowiczowej.

P. Kasprowiczowa, której podobiznę podajemy w dzisiejszym numerze, należy do tych wyjątkowych postaci polskiego świata scenicznego, które w każdej roli czy partyi, nietylko są dobrymi, lecz wprost doskonałymi wykonawcami. Organizacya artystyczna nawskróś aktorska, daje artystce ową podziwianą i niedoścignioną swobodę w poruszaniu się na scenie — zaś bajeczna muzykalność pozwala jej na danie wyrazu muzycznego kreacyom, głosem czystym o nieposzlakowanej intonacyi, sympatycznym i bogatym w kolory dźwięku. Doskonała jako Ortruda (Lohengrin), jako Halka, i Amneris (Aida) i t. d., wyborną jest równocześnie Kasprowiczowa jako Poligamcia (Lysistrata), Wdowa po kapitanie (Wiceadmirał) itd., i w każdej wogóle partyi, którą kreuje. Nic tedy dziwnego, że słuchacze teatralni, melomani, lubią i wysoko cenią niepoślednią tę artystkę, darząc ją zawsze szczeremi i żywemi oklaskami.

Drugą ulubienicą publiczności, acz w innym kierunku, jest p. Staszko, prima-ballerina opery lwowskiej. Wykształcona w szkole warszawskiej przywiozła tradycye dobrego smaku tej szkoły, a hojnie uposażona od natury w piękną postawę, zgrabne wytworne ruchy i wdzięk niewieści, zachwyca i ujmuje widzów. P. Staszko jest jednak wyjątkiem w gronie koleżanek, bo przysparza bywalcom teatralnym nietylko wzruszeń i rozkoszy optycznych, lecz także i miłe chwile dla słuchu. P. Staszko podziwialiśmy już niejednokrotnie w partyach operetkowych jako śpiewaczkę, oddającą rolę nietylko bez zarzutu, lecz z wdziękiem i finezyą. Podwójnie tedy jest ulubienicą piękna p. Staszko i jako taka, prawdziwą ozdobą lwowskiej operetki. — *urs.* —

Tragiczna śmierć potomka królewskiego.

(Do portretu na stronie 3).

O tragicznej śmierci ś. p. ks. Eugeniusza Murata, który zabił się na samochodzie, podają dzienniki francuskie następujące szczegóły:

Na odległość jednego kilometra od miejscowości Mitterteich, na drodze do Waldsassen w Saksonii, znajduje się bardzo ostry zakręt. Na tym zakręcie poniósł śmierć ś. p. ks. Eugeniusz Murat. Według opowieści palacza, który z chromą ręką wyszedł z wypadku, a który jest jedynym świadkiem tragicznego zgonu, książę sam kierował automobilem.

Dojechawszy w szybkim pędzie do zakrętu, książę spostrzegł się za późno i nie mając czasu zwolnić, raptownie cofnął się. Samochód się przewrócił przygniatając księcia.

Palacz został wyrzucony z automobilu, omdlał, a po ocknięciu się, znalazł księcia już nieżywym.

Inna wersya dodaje, że na tym nieszczęśliwym zakręcie, książę zobaczył psa, którego chciał wyminąć i w skutek tego był zmuszony zawrócić samochodem zbyt raptownie.

Śmierć ks. Eugeniusza Murata okrywa żałobą wiele arystokratycznych rodzin francuskich i cudzoziemskich.

Przez ojca, siostrzeniec księżnej de Monchy i księżnej Achille Murat, z domu księżniczki Tatyany Mingrelskiej, był kuzynem ks. Lucyna Murata, księżnej de Lavello de Torella i hrabiny Gołuchowskiej, żony ministra spraw zewnętrznych Austro Węgier.



Tydzień opery lwowskiej w Krakowie: A. Kasprowiczowa.

Książę Murat, teraźniejszy przedstawiciel rodu, który ma za przodka znakomitego marszałka Murata, mianowanego przez cesarza Napoleona królem Neapolu, a będącego szwagrem cesarza, ożenił się z p. Cecylią Ney d'Elchingen, siostrą księżnej Eugenii Murat.



Echa Dumy: Byli posłowie do rosyjskiej Dumy państwowej, po rozwiązaniu jej, obradujący chwilowo w Wyborgu w Finlandyi; na dworcu kolejowym chwila odjazdu posłów z Wyborga po przerwaniu obrad.

Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

21 Przerobił J. R. Ciąg dalszy.

Na drugi dzień wieczór widziano Ilonę znowu, jak szła przez osrebrzone poświetlą księżyca aleje parku, aby się przekonać, czy ta, której ona z całej duszy nienawidziła, zakończyła nareszcie życie.

Jak zeszłej nocy, tak i teraz sparła główkę o drzwi, ale do uszu jej doszło tylko lekkie stękanie, jakby westchnienia.

Z okropnym uśmiechem na ustach, uśmiechem, który całą jej twarz zmienił do niepoznania, opuściła ruiny pustelni i spędziła resztę nocy w objęciach kochanka.

Nie myślała nawet zupełnie o zbrodni, jaką popełniła, nic jej to nie obchodziło prawie.

Nadeszła trzecia noc i teraz Ilona zabrała ze sobą jakąś flaszkę. Była w niej najstraszniejsza trucizna, która sprowadzała śmierć w przeciągu kilku sekund.

— Już mam dosyć — mówiła sama do siebie — tak noc w noc odbywać pielgrzymkę do tej rudery. Dzisiaj musi przecie raz nastąpić zmiana.

Ale już niepotrzebnie zaopatrywała się w truciznę, bo kiedy ucho przyłożyła do drzwi, nie usłyszała nawet najlżejszego oddechu. Wewnątrz celi panował spokój grobowy.

ROZDZIAŁ XXXIV.

Zasłona spada.

Powróćmy teraz do Małgorzaty Wilding, którą zostawiliśmy w chwili, kiedy z okna palącego się domu rzuciła się wraz z dzieckiem na ziemię, uchodząc w ten sposób niechybnej śmierci. Upadła na płachty, trzymane przez strażaków i zemdlała. Nic dziwnego. Była przecież tak wycieńczoną i słabą po tylu strasznych przejściach poprzednich dni. Odniesiono ją do jednego z odległych od miejsca pożaru domów, w którym przez cały dzień i noc nie odzyskała przytomności.

Kiedy nareszcie przyszła do siebie, ujrzała nad sobą pochyloną świeżą, rumianą twarz młodej kobiety. Nie mogła z początku zrozumieć, gdzie jest i co się z nią stało. Opiekunka opowiedziała jej dopiero, iż Fredziu jest zdrów, że wysłała go ze służącą na pole.

Wzruszona, chwyciła Małgorzata rękę nieznajomej i chciała ją ucałować, ale nie pozwoliła na to młoda kobieta, która usiadła teraz i zaczęła jej opowiadać o sobie.

Była ona żoną kapitana okrętowego. Mąż jej przed pół rokiem wyjechał i miał powrócić dopiero przy końcu kwietnia. Obecnie znajdował się w Ameryce.

Wtedy przypomniała sobie Małgorzata opowiadanie, jakie słyszała, leżąc w trumnie u Stürmerów, opowiadanie człowieka, którego Stürmer nazywał Winkelmanem. Wiedziała wszystko, słyszała najdrobniejszy szczegół. Jej stryj, którego zawsze uważała za biedaka i któremu ojciec jej od czasu do czasu posyłał trochę pieniędzy, zostawił jej kolosalny majątek, który na niego spadł przed samą śmiercią.

W głowie jej się formalnie kręciło, kiedy myślała o tej kolosalnej sumie, jaką kiedyś miała otrzymać. Ale równocześnie duszę jej napełniała radość i duma, bo wiedziała, że przynajmniej jej dziecię nie będzie musiało zginąć z nędzy, ale może żyć spokojnie i szczęśliwie. I dlatego tylko cieszyła się, że na nią spadł tak niespodziewanie taki wielki majątek.

Żona kapitana, która właśnie wróciła z kuchni, widząc chorą tak zamyśloną, zbliżyła się znowu do jej łóżka i spojrzała na nią pytającym wzrokiem, jakby miała ochotę o coś pytać. Nareszcie ozwała się:

— Wybacz pani, nie ciekawość mną powoduje, ale zdaje mi się, że panią dręczy jakaś troska, i dlatego pytam się pani wprost, co to za troska. Bo może jabym pani mogła coś pomóc!

Małgorzata spojrzała w jej łagodne, dobre oczy i odparła:

— Winnam pani taką wdzięczność za opiekę, jaką pani roztoczyła nademną i nad mojem dzieckiem, że z chęcią powiem pani, o czem teraz myślałam.

Żona kapitana wzięła ją za rękę, a Małgorzata zaczęła w krótkich, urywanych zdaniach opowiadać o swem życiu. Na końcu przytoczyła opowiadanie Winkelmana, które, leżąc w letargu, słowo w słowo dokładnie słyszała.

Mała kobietka, która słuchała uważnie wszystkiego, rozczuliła się tak, że nie mogła powstrzymać łez, przemocą jej się do ócz cisnących. Głaszcząc Małgorzatę po białem czole, zaczęła ją pocieszać.

— Biedaczko, cóżeś pani musiała wycierpieć?! Ale teraz już będzie inaczej, zupełnie inaczej, czyż nie tak? Jeszcze dzisiaj wybiorę się do pani Stürmer; ona pewnie będzie wiedzieć, gdzie obecnie znajduje się Winkelman, a jeśli wie, to szczęściu pani nic nie stoi na przeszkodzie.

W tej chwili weszła do pokoju służąca z Fredziem. Biedna Wildingowa uścisnęła chłopczynę z tą miłością, jaką tylko pierś matczyna odczuwać zdoła. Malec odpłacał jej całusami, rad, że nareszcie znowu zobaczył swoją mamusię. W jego dziecięcym mózgu nie mogło się pomieścić, jak można było spać tak długo, jak spała matka, leżąc w trumnie.

Kiedy się już napieścił do woli, zwrócił na nią swe duże, piękne oczy i zapytał:

— Powiedzno mi, matusiu, gdzie jest właściwie mój ojciec?

Małgorzata zbladła. Nie wiedziała sama, co ma dziecku na to pytanie odpowiedzieć. Skąd mu to zresztą przyszło na myśl?

— Moje dziecię — odparła z nietajonem wzruszeniem — czy tam ładnie dzisiaj na polu?

— O, jeszcze jak — rzekł malec — było bardzo ładnie w ogrodzie. Bawiliśmy się w piłkę; przyszedł później także Janek od sąsiadki, no i potem nie było już tak ładnie.

— Tak, a dlaczegóż to? — spytała ucieszona, że chłopiec widocznie zapomniał o pierwszem pytaniu.

— A bo Janek powiedział, że ma bardzo ładną mamę, a ja mu powiedziałem, że moja mama jest jeszcze ładniejsza. On się na to roześmiał i powiedział, że ja nie mam ojca. Ja się na to rozzłościłem i powiedziałem mu, że mam tatusia bardzo ładnego, ale on się ze mnie wyśmiał i nie uwierzył mi. Mamusiu! — kończył z płaczem chłopczyna — ja chcę mieć tatusia!

Małgorzata z trudem stłumiła w sobie łzy. Żona kapitana zaś zaczęła głaskać malca po czuprynie, mówiąc:

— Biedne, biedne dziecko!

Chłopczyna podniósł na nią oczy i wpatrzył się w nią z wyrzutem. Teraz dopiero zauważyła Małgorzata, jak on ogromnie podobny był do ojca.

— Nie chcę, żeby mnie pani żałowała — mówił z płaczem — ja chcę mieć tatusia, chcę go pokazać Jankowi, żeby się nie śmiał ze mnie. Mnie się już przykrzy, chcę, żeby mnie tatuś znowu kołysał na kolanach, tak, jak dawniej to robił.

Małgorzata przyciągła go ku sobie.

— Fredziu, mój Fredziu — mówiła płacząc, jakże możesz mówić w ten sposób do mamy? Czy już jej wcale nie kochasz?

— Bardzo cię kocham, matusiu! — szeptał chłopczyna — bardziej, o wiele więcej kocham cię, aniżeli tatusia, z powodu którego tyleś się napłakała, ale ponieważ Janek mnie wyśmiał, więc chcę mu przecie pokazać, że i ja mam tatusia!

— Późno już! — przerwała kapitanowa. — Pójdź, Fredziu, dam ci kolacyę i ułożę cię do łóżeczka!

Mówiąc to, odciągła płaczącego chłopczynę od łóżka, widziała bowiem, jak nieprzyjemne było pytanie dzieciaka dla biednej Wildingowej. Kiedy zaś powróciła, zobaczyła, że Małgorzata, zakrywszy twarz rękoma, łka konwulsyjnie, trzęsąc się na całem ciele.

Zaczęła ją pocieszać, jak tylko mogła, ale Małgorzata potrząsła jeno głową i łkała.

— Tylko kobieta opuszczona przez męża może zrozumieć i pojąć ten ból, jaki w mej piersi wrze. Zdaje mi się, że w duszy mam ołów rozpalony; jakżeż ja cierpieć muszę! I za co? Do tego jeszcze przychodzi do mnie ten dzieciak i pyta się: Gdzie jest mój ojciec? Dlaczego ja się z nim widzieć nie mogę? Cóż ja mu powiem, jak będzie starszy i rozumniejszy? Czy mam mu powiedzieć wprost: Twój ojciec był łotrem, porzucił matkę i ciebie i wydał nas na łup ostatniej nędzy! Mogęż mu to powiedzieć? Ojciec! Cóż to za wzniosłe słowo! Ojciec mojego dziecka? O, krzyczeć mi się chce, gdy tylko o tem pomyślę. Mam może ja być tą, która mu pierwszy cierń wbije w duszę?

Kapitanowa spuściła głowę na dół. Pojmowała ona doskonale i odczuwała ból, jaki żreć musiał serce Małgorzaty. Bo dla kobiety prawdziwie szlachetnej nie może być chyba większego ciosu nad to, że mąż ją zdradza i porzuci zupełnie, jak się rzuca łachman stargany na drogę. Wiedziała, że dla dziecka nic nie ma straszniejszego, jak to, że w dzieciństwie dowiedzieć się musi, iż jego ojciec był zbrodniarzem. Ta świadomość złamała i zatruła życie niejednemu człowiekowi, odebrała mu wszystkie promienne blaski dzieciństwa, wyradzała niejednego na odludka i życie robiła mu katuszą nie do zniesienia.

I kiedy tak stała nad Małgorzatą, pierś jej zaczęła falować ze wzruszenia; zbliżyła się ku nieszczęśliwej, głowę jej przycisnęła do piersi i zaczęła również płakać.

W tej chwili weszła służąca i przyniosła gazetę.

Kapitanowa pierwsza ocknęła się. Wiedząc zaś, że najlepiej będzie rozerwać Małgorzatę i myśli jej na chwilę odwrócić od męża, zaczęła czytać na głos kronikę. Były tam rozmaite wypadki ostatniej doby, skreślone barwnem piórem zdolnego widocznie reportera.

Naraz z piersi jej wydarł się stłumiony krzyk. Małgorzata wpatrzyła się w nią zdziwiona.

A kapitanowa, nie mówiąc nic, rzuciła się ku chorej i zaczęła ją okrywać pocałunkami.

— Co się stało? — pytała Małgorzata, uwalniając się z jej objęć.

— Zaraz się pani dowie!

I to mówiąc, wybiegła z pokoju, zostawiając Małgorzatę na łup własnych myśli.

ROZDZIAŁ XXXV.

Klątwa złego czynu.

Kiedy Ilona powróciła z ruin, zastała Roberta siedzącego w jej buduarze, zatopionego w myślach. Najwięcej obawiała się ona jednego; żeby jej Robert nie przestał kochać. Podeszła więc ku niemu, objęła go ramieniem i zapytała tak słodko, jak tylko ona to umiała:

— O czemże ty tak myślisz, Robercie?

— Eh — odparł z niechęcią.

Widziała, że prawdopodobnie myślał o Ernie. Miała ochotę zwymyślać go, ale wiedziała, że to się na nic nie przyda, bo Robert miał charakter uparty i nie znoszący oporu. Wszystko z nim można było zrobić, ale nie złością, jeno przeciwnie: dobrocią. Ozwała się więc znowu spokojnie:

— Żal mi cię, Robercie. Gotowam cię nawet posądzać o tchórzostwo. I wartoż to o tem myśleć? Czyż życie ludzkie jest czems tak cennem, że usunięcie jednego człowieka ze świata powoduje kataklizm? Nie, Robercie. Uspokój się, rozchmurz czoło.

— Co z Erną? — rzucił sucho.

— Umarła. Już nie żyje.

— Umarła?

— Tak jest.

Zdawało się, że słowa te wywarły nań większe wrażenie, aniżeli Ilona mogła się spodziewać. Ale myliłby się, ktoby przypuszczał, że Robert istotnie odczuł boleśnie śmierć swej żony, bo oto twarz mu się rozjaśniła, a z piersi wyszło jakby jakieś westchnienie ulgi.

— Wiesz napewne, że umarła?

— Z całą pewnością.

Ucałował jej rękę i czule przyciągnął ją do siebie. A Ilona, zarzuciwszy mu ręce na ramiona, zaczęła szczebiotać.

— A teraz nareszcie będziemy szczęśliwi! Już nam teraz nic nie stoi na przeszkodzie. Wyjedziemy stąd, wyfruniemy w daleki świat, rzucimy się całą siłą pary w wir zabaw i uciech. Bo i na cóż człowiek żyje na świecie, jeśli nie na to, aby się przynajmniej ubawił i nacieszył. W Paryżu, w Monte Carlo, na Rivierze pędzić będziemy słoneczne dni szczęścia, nie przyćmione ani jedną chmurką. A ja cię będę kochać z całych sił, całym pożarem mojej młodej, burzącej się krwi, przepychem mojego ciała i złotą falą moich włosów.

I przycisnęła się doń, drżąc cała od zwierzęcej miłości; on zaś dał się porwać powabom szatańskiej kobiety i zaczął ją całować, wżerać się po prostu pocałunkami w jej oczy jasne, w czoło i rozchylone, jakby spragnione, wargi.

Wtem do drzwi ktoś zapukał. Ilona zerwała się i usiadłszy obok Roberta, zawołała:

— Proszę.

Wszedł służący i oznajmił, że na kurytarzu czeka jakiś pan, przyzwoicie ubrany, który chce się koniecznie widzieć z hrabiną Pardua.

— Z kim? — zapytał hrabia.

— Z hrabiną Erną Pardua!

— Czyś oszalał? — zawołał wściekły, ale spostrzegłszy się, zaczął zaraz dalej: — Nie mogłeś mu kazać zaczekać, a nie nachodzić nas po nocy? Wynoś się i każ mu przyjść jutro.

Ale osłupiał zupełnie, kiedy wzrok zwrócił ku drzwiom. Bo oto w tej właśnie chwili wszedł do

pokoju młodzieniec wysmukły, blady nieco, jakby po niedawno przebytej chorobie. Ilona wpatrzyła się weń zdumiona. bo młodzieniec ten był łudząco podobny do Roberta.

Robert zaś, jakby piorun w niego strzelił, stanął, oczy zdawały mu się rozsadzać czaszkę, a z twarzy znikła krew. Nie mógł się ani poruszyć, ani słowa przemówić, aż wreszcie, jakby obuchem zwalony, runął jak długi na ziemię.

Tymczasem nowo przybyły podszedł na środek pokoju i widząc zakłopotanie Ilony, która tej nagłej zmiany u Roberta nie zdołała sobie wytłómaczyć i również stała bezradna, zwrócił się do niej.

— Nazwisko moje Robert hrabia Pardua.

— Kto? — krzyknęła Ilona, ocknąwszy się odrazu.

— Robert hrabia Pardua. Chciałem się zobaczyć z Erną Solms.

— Z hrabiną?

— Niestety, tak i nie. Bo dotychczas ona nie jest hrabiną.

— Jakto? Przecież hrabia tu leży...

— Ten człowiek nigdy hrabią nie był. Jest to pospolity zbrodniarz, któremu przez długi stosunkowo czas udawało się uchodzić bezkarnie karzącej ręce sprawiedliwości, ale teraz już jej nie ujdzie!

Ilona wpatrzyła się weń, jak obłąkana.

— Jakto? Co pan mówi? Jak pan śmiesz!

— Niech się pani uspokoi i nie robi scen. Pan Stein to pani wytłómaczy.

I zwracając się ku drzwiom, zawołał:

— Proszę pana, niech pan pozwoli.

W tej chwili wszedł do pokoju detektyw Stein w towarzystwie dwóch żandarmów.

— Skuć go! — zakomenderował zaraz, a żandarmi rzucili się ku leżącemu na ziemi Robertowi i ocuciwszy go, skuli mu zaraz ręce kajdankami.

Stein zaś, zwróciwszy się do Ilony, rzekł głośno i dobitnie:

— W imieniu prawa aresztuję panią. Proszę się zachowywać spokojnie, bo w przeciwnym razie każę i pani założyć na ręce kajdanki, a tego pani sobie chyba nie życzy, panno Ilono Barrison!

Z głośnym krzykiem rzuciła się Ilona na krzesło i załamawszy ręce, zaczęła łkać. Robert, który już wrócił do przytomności, wodził błędnym wzrokiem naokoło, zgrzytając zębami ze wściekłości.

— A teraz — ozwał się znowu Stein — zanim państwo stąd wyjdziecie, musimy zrobić protokół.

Robert żachnął się na krześle.

— Panie Wilding — mówił Stein, zwracając się do niego — chyba nie będziesz pan dalej grał komedyi, ale przyznasz się do wszystkich zbrodni, jakie masz na sumieniu. Ułatwisz nam pan śledztwo, a przez przyznanie się możesz uzyskać łagodniejszy wyrok.

— Pan mi odpowie za bezczelność, panie ajencie — zawołał groźnie Robert. — Jak pan śmiałeś tutaj wejść ze żandarmami, jakiem prawem kazałeś mnie pan skuć? Pan mi za to odpokutujesz!

Zamiast odpowiedzi, Stein, oburzony jego bezczelnością, rzucił sucho żandarmom:

— Przykuć mu nogę do ręki, bo to ptaszek zbyt niebezpieczny, a potem na wóz i do więzienia. Pan mi odpowiadasz za więźnia, panie wachmistrzu. Miej się pan na baczności!

Żandarm spełnił polecenie i mimo szarpania się Roberta, skuł mu jednym łańcuszkiem prawą rękę i lewą nogę, tak, że zgarbiony, nie mógł zupełnie myśleć już o ucieczce, poczem obydwaj wyszli, a raczej Robert wywlókł się z trudem z pokoju.

— A teraz pani będzie łaskawa odpowiadać na moje pytania. Ostrzegam, że całą sprawę znam zbyt dobrze i dlatego proszę o samą, szczerą prawdę. Wykręty na nic się pani nie przydadzą, owszem, mogą pani tylko zaszkodzić.

Ilona nic nie odpowiedziała. Usiadła na fotelu i ukrywszy twarz w dłoniach, płakała. Była to kobieta, pomimo całej swej demoniczności, srodze tchórzem podszyta, to też, widząc grożące jej niebezpieczeństwo, nie mogła się oprzeć łzom, przemocą jej się do ócz cisnącym.

— Czy pani będzie odpowiadać? — zapytał znowu Stein, widząc, że Ilona nie może się uspokoić, ale łka coraz gwałtowniej.

Pytanie to oprzytomniło Ilonę. Przed oczyma jej otworzyła się odrazu przepaść, nad jaką stanęła. Widziała, że ratunku nie mogła znaleźć nigdzie, tem mniej u detektywa Steina, a po zaaresztowaniu Roberta — wiedziała dobrze, że i ją ten sam los czeka. Miała już ochotę rzucić się na kolana i błagać litości, ale wtem błysła jej nowa myśl, która jej przyniosła nadzieję wybawienia. Aby więc korzystać z czasu, odparła powoli:

— Co pan myśli ze mną zrobić?

— Z panią? Pójdzie pani do więzienia. Chyba pani na to w zupełności zasłużyła.

— A więc o co mnie pan chce pytać?

— Przedewszystkiem o to, gdzie obecnie znajduje się Erna Solms. Radzę pani być szczerą, bo ja tak, czy tak się dowiem.

Wstrzymała się z odpowiedzią.

Ale komisarz Stein nie zauważył, że Ilona podniosła do ust małą flaszeczkę i jednym haustem wychyliła całą jej zawartość.

— Gdzie jest Erna?—spytał Stein po raz drugi.

W tej chwili Ilona krzykła przeraźliwie i runęła jak długa na ziemię.

Robert hrabia Pardua rzucił się ku niej i uniósł ją nieco w górę. Nie mógł jednak trzymać jej dłużej, bo szatańska ta kobieta zaczęła naraz konwulsyjnie drżeć, oczy jej wyszły na wierzch, usta rozchylały się, jakby z trudem chwytając powietrze, ręce i nogi zaczęły się kurczyć w konwulsyjnych rzutach.

— Zbrodniarka! — syknął Stein, a potem, zwracając się do hrabiego Roberta, dodał:



— Skuć go! — zakomenderował zaraz, a żandarmi rzucili się ku leżącemu na ziemi Robertowi i ocuciwszy go, skuli mu zaraz ręce kajdankami.

— Sama sobie wymierzyła karę. chociaż główným winowajcą był nie kto inny, jeno ten łotr Wilding, ale ona była jego prawą ręką, co więcej, ona była przyczyną mnóstwa jego zbrodni. Nie trzymaj jej pan, toż ona już nie żyje. Miała odwagę w ostatniej chwili niebezpieczeństwa zażyć truciznę i to, jak widać, dobrą truciznę, bo już nie żyje.

— Otruła się? — zapytał hrabia przerażony.

— Jak pan widzisz! To są symptomata nagłej śmierci przez otrucie. Chociaż przyznam się panu, że tak szybko działającej trucizny jeszcze nie widziałem.

Szczęśliwym trafem Ilona, wróciwszy z ruin, nie pozbyła się flaszeczki z trucizną, przeznaczoną dawniej dla Erny. Przydała się jej ta trucizna w ostatniej chwili niebezpieczeństwa tem straszniejszego, że zupełnie niespodziewanego i nieoczekiwanego. Widząc bowiem, że tak, czy tak za biorą ją do więzienia, wiedziała zbyt dobrze, jaki los ją czeka. Miała przecie niejedną sprawkę na sumieniu, a była przekonana, że Stein musiał mieć niezbite dowody jej winy, kiedy tak stanowczo odrazu się rozprawił z Robertem i z nią się rozprawić obiecywał. Sam fakt, że znał jej prawdziwe nazwisko, utwierdzał ją w tem mniemaniu, że czeka ją conajmniej kilkuletnie więzienie. Zdecydowała się więc i sama zażyła truciznę. Wolała sama sobie śmierć zadać, aniżeli narażać się na męki i hańbę.

— Ale gdzie jest Erna? — ozwał się hrabia Robert.

Stein wzruszył ramionami.

— Zbrodniarka ta zabrała tajemnicę Erny ze sobą do grobu.

— Więc niema nadziei odnalezienia jej?

— No, niema potrzeby odrazu rozpaczać. Poszukamy, może się gdzie znajdzie.

— I ktoby przypuszczał — ozwał się hrabia — że w tak pięknej kobiecie szatan obrał swoje siedlisko!

ROZDZIAŁ XXXVI.

Światło w ciemności.

Kilka tygodni przed opisanem powyżej zdarzeniem zjawił się w zamku młody, przystojny mężczyzna, opatrzony bardzo dobremi świadectwami z prośbą o jakiekolwiek zajęcie. Ofiarowano mu, miejsce lokaja — przyjął je i odrazu zaczął pełnić służbę. W przeciągu kilku dni zdołał był pozyskać sobie sympatyę i życzliwość hrabiego, nawet Ilona, dla wszystkich służących surowa i czasem zupełnie nieoględna, obchodziła się z nim bardzo dobrze, kilkakrotnie nawet zabierała go z sobą. udając się na przejażdżkę do lasu.

Był to sługa cichy, skromny, w lot spełniający każde, niewypowiedziane nawet jeszcze życzenie. Przy tem wszystkiem był to chłopak ogromnie wesoły, dowcipny, figlarny; umiał się znakomicie bawić w gronie pokojówek i innej służby, która też dla tej jego wesołości właśnie wprost przepadała za nim. Dość wspomnieć, że nawet Marceli polubił go ogromnie i z przyjemnością spędzał wieczór w jego towarzystwie.

Nikt jednak, ani Marceli nawet nie zauważył, że Paweł — tak się nowy lokaj nazywał — codziennie późnym wieczorem siadał w swoim pokoiku i pisał, poczem przez chłopaka, już u bram zamku czekającego, po północy stale odsyłał kopertę z listem do miasta.

Gdyby więcej zwracano na owego lokaja uwagi, schwytanoby go z pewnością nieraz pod drzwiami buduaru Ilony, jak przystawiwszy ucho do dziurki od klucza, podsłuchiwał tajemnych jej rozmów z Robertem. Pilnował też należycie samego Roberta.

Pewnego dnia wieczorem, widząc, że Robert wychodzi do parku, udał się za nim niespostrzeżony, licząc widocznie na to, że uda mu się może dowiedzieć o czemś, co mu się przyda bardzo do należytego spełnienia obowiązku, jaki na niego włożono.

Hrabia szedł wolno, pogrążony w myślach tak dalece, że nie zwracał na nic uwagi. Dopiero kie dy wyszli poza park i znaleźli się w gaju świerkowym, zaczął się niecierpliwie oglądać naokoło, jakby na kogoś czekał.

Paweł nie zawiódł się w swoich przeczuciach. Po chwili bowiem z gąszczu wyłoniła się ja kaś stara baba, typowy obraz brzydoty i uwiądu starczego, ubrana ubogo, ot, jak zwyczajna żebraczka. Zdziwił się więc niezmiernie, kiedy żebraczka podeszła ku Robertowi i wziąwszy go za głowę, ucałowała serdecznie, szepcząc:

— Robercie, mój Robercie!

(Dokończenie nastąpi).

Amerykańska blaga.

Największą sensacyą ubiegłego tygodnia w Krakowie, we Lwowie i w całej zresztą Galicyi, były po amerykańsku świetnie reklamowane przedstawienia cyrkowego przedsiębiorstwa „Buffalo Bill“, które zawiodły wprawdzie oczekiwania publiczności, a nawet poprostu rozczarowały tłumy ciekawskich, ale bądź co bądź narobiły wszędzie dużo hałasu. Materyalnie powiodło się amerykańskiemu przedsiębiorcy wybornie, gdyż w każdem mieście zebrał krocie. Dlaczego? — Oto narobił mnóstwo wrzawy reklamą, o jakiej u nas niema się pojęcia. Zalepił mury naszych miast barwnymi afiszami takich rozmiarów, jak conajmniej obrazy Matejkowskie; tłum mimowoli gapił się na każdym kroku na owe dziwy kolorowe z figurami ludzi i koni nadnaturalnej wielkości — i dowiadywał się szczegółów sensacyjnych zapowiedzi. Cel został osiągnięty. Szło jedynie o to przecież, by publiczność zainteresować. Dla nas jest w tem wszystkiem nauka, że tłumy, nie baczne na przestrogi rozsądne, lecą na lep reklamy, jeżeli się ją prowadzi umiejętnie, a w wielkim stylu, tak żeby narobiła dużo hałasu. Zapytajcie, czy był kto we Lwowie, Krakowie i innych miastach większych naszego kraju, ktoby nie wiedział w ubiegłym tygodniu o przyjeździe „Buffalo Billa“.... A ile razy my coś pożytecznego robimy, na czem w interesie społeczeństwa zależałoby właśnie, żeby jak najszersze sfery o tem wiedziały i mówiły — czyż wtedy oprócz paruset inteligentnych czytelników gazet w każdem mieście, wie o tem tłum wielotysięczny? — Nie. Bo nie umiemy należycie zareklamować przedsiębiorstwa. „Buffalo Bill“ powinien dla nas właśnie stanowić nauczkę na przyszłość. Dziś daremnie rozpaczać na ten temat, że jesteśmy krajem ubogim, którego nie stać na płacenie miliona koron za bilety wstępu na przedstawienia cudzoziemskiego cyrku. Ileż to szkół ufundowalibyśmy w naszym kraju analfabetów za te pieniądze, które od nas wywiózł amerykański przedsiębiorca! A jednak chociaż były przestrogi przed tą blagą, nic to nie pomogło i pomódz nie mogło wobec bajecznej reklamy cyrkowców, która zrobiła swoje wszędzie. Po takiej reklamie można było spodziewać się rzeczy nadzwyczajnych, za które wartoby było płacić podobnie słono, jak „Buffalo Bill“ płacić sobie kazał. Tymczasem lepsza część



Fot. dla „Nowości Illustr.“ aparatem redakcyjnym W. Lis.

Blaga amerykańska: „Buffalo Bills Wild West“ na Błoniach; Namiot z polową kancelaryą dyrekcyi amerykańskiego przedsiębiorstwa wędrownego.



Najdłuższa broda: Siedemdziesięcioletni Włoch, właściciel najdłuższej i najwspanialszej brody wśród Europejczyków.



Fot. aparatem redakcyjnym W Lis.

Blaga amerykańska: „Buffalo Bills Wild West“ na Błoniach w Krakowie: Instalacya cyrku przed południem w sobotę, na parę godzin przed pierwszem przedstawieniem.

publiczności wychodząc z przedstawień „sensacyjnego cyrku“, sarkała głośno, żałując po niewczasie grubego wydatku. Amerykanin śmiał się w kułak, ponieważ grosz krociowy schował już do kieszeni i jechał dalej, nie myśląc wracać na miejsce, gdzie mu się raz udało. Najlepiej wyszli wszędzie ci tylko, którzy zamiast kupować bilety, poszli jedynie przypatrzyć się przyjazdowi kolosalnego przedsiębiorstwa. To jest, bądź co bądź, rzecz ciekawa i poniekąd pouczająca tą swoją znakomitą administracyą, która utrzymuje w karbach setki ludzi i zwierząt pracujących z podziwienia godną zręcznością. Wszystko tam idzie jak w dokładnej maszynie.

„Buffalo Bill“ przyjeżdża na miejsce własnymi trzema pociągami. Przy wyładowaniu pracuje przeszło 300 ludzi, a nikt nimi nie komenderuje. Ani jedno słowo rozkazu nie pada, nie słychać żadnego nawoływania. Naprzód otwierają się wagony z końmi. Ludzie przystawiają pomosty. Konie pociągowe już w uprzężach wychodzą z wagonów przez nikogo nie prowadzone i same ustawiają się w długim szeregu w pary jedne za drugiemi. By dać pojęcie, jak wszystko to odbywa się szybko, wystarczy powiedzieć, że dwadzieścia wozów ciężarowych zdjęto z platform wagonowych i zaprzężono w kilkakrotne zaprzęgi w niespełna trzy kwadranse. Cała kolosalna czereda czerwonych, czarno i biało-skórych członków trupy w liczbie przeszło 400 ludzi, wraz ze swoimi końmi najrozmaitszych ras, maści i wielkości, w około 10 minut była uporządkowana i ruszyła w drogę na Błonia przodem, za nią dopiero jeden wóz za drugim, a przy każdym należący do niego personal pomocniczy, wynoszący razem około 350 osób. Gdy pierwszy wóz przybył na plac, już były tam wymierzone wszystkie odległości, potrzebne do budowy namiotów i oznaczone żelaznemi pręcikami powbijanemi w ziemię. Rozpoczęła się budowa naprzód wielkiego namiotu na pomieszczenie kuchni, jadalni i namiotu na stajnie. Za chwilę podniosły się na linach we środku wysokie maszty, a w parę minut potem rozpięto kolosalne płótna namiotów. Robotnicy rzucili się do budowy wielkiego namiotu dookoła areny, a tymczasem służba kuchenna rozpoczęła ustawiać składane, długie, na 800 osób wystarczające stoły, już w zbudowanym namiocie, kuchmistrze rozpoczęli przygotowywać śniadanie, a jeźdźcy odprowadzali swoje konie do namiotu, przeznaczonego na stajnie. W kuchni polowej gotuje się wszystko w wielkich kotłach za pomocą pary, a mięso piecze się i smaży w odpowiednich, hermetycznie zamkniętych „bratrurach“. Herbata, kawa i kakao przygotowuje się w olbrzymich maszynach. W około 20 minut już było gotowe śniadanie, złożone z kawy, herbaty, kakao (do wyboru), bułeczek z masłem, beffsteaków i rozbifów z kartoflami i angielską musztardą i z wędzonki z fasolką na kwaśno. Do nakrytych już stołów usiadło około 500 ludzi odrazu; a miejsce po każdym, który wstał, zajmował ktoś drugi. Nikt nie dostaje wydzielanych porcyj; dyrektorzy przedsiębiorstwa i najniższy robotnik dostają to samo jedzenie. Wszyscy jedzą mięso trzy razy dziennie: na śniadanie, obiad (o w pół do 5 po południu) i na kolacyę (po wieczornem przedstawieniu).

Oprócz kawy, herbaty i kakao, wszystkie artykuły, jak mięso, mąka, mleko, kartofle etc., kupuje „Buffalo Bill“ na miejscu, oczywiście *en gross*. I tak n. p. potrzebuje on dziennie 800 kg. mięsa, a 400 litrów mleka, a 4 korce kartofli. Najniżej opłacany robotnik zarabia tam po 34 koron tygodniowo oprócz wiktu i 10 koron tygodniowo premii, którą otrzymuje po skończeniu każdego sezonu razem za 25 tygodni pracy, to jest za czas od marca do listopada, bo tak długo każdy jest zajęty. To wysokie pozornie wynagrodzenie nie jest jednak dużem, gdy się zważy, jak dzielnie, sprawnie i ogromnie szybko pracują ci ludzie. Oprócz około 400 ludzi biorących udział w przedstawieniach i 350 ludzi z pomocniczego personalu, „Buffalo Bill“ posiada około 50 urzędników, buchalterów, sekretarzy i innych funkcyonaryuszy



Fot. dla „Now. Illustr.“ aparatem red. W. Lis.
Amerykańska blaga: „Buffalo Bills Wild West“ na Błoniach w Krakowie: wznoszenie namiotów; grupa robotników młotami wbija w ziemię pale, do których przymocowane są liny namiotów.



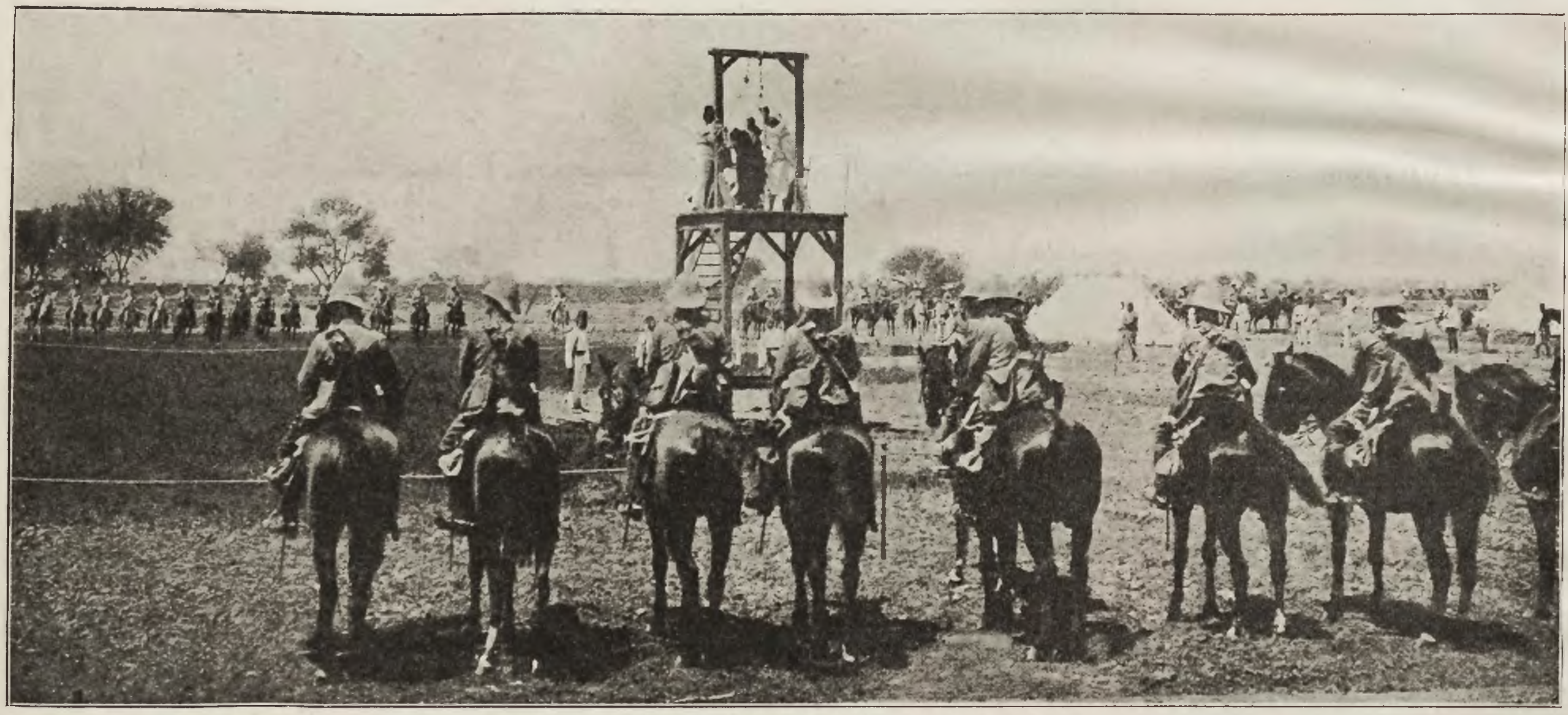
Fot. dla „Nowości Illustr.“ apar. red. W. Lis.
Blaga amerykańska: „Buffalo Bills Wild West“ na Błoniach w Krakowie: Ruchoma kasa biletowa: wóz, w którym sprzedają karty wstępu na przedstawienia.

administracyjnych. — W Krakowie podobno, jak zapewniali wtajemniczeni, zrobił Buffalo-Bill nieco gorszy interes względnie do innych miast galicyjskich.

Król miliarderów amerykańskich.

(Do illustracyi na str. 3).

Król kolejowy Russel Sage zmarł w tych dniach w posiadłości swej, w pobliżu Cedarhust na Long-Island.



Groźne zajście w Egipcie: Egzekucya w Denchawaï: wobec władz angielskich, powieszenie jednego z czterech na śmierć skazanych z ludności miejscowej, która odpowiedziała w sposób mściwy na samowolę oficerów angielskich.

Wraz z nim znika jedna z najwybitniejszych postaci amerykańskiego świata bankowego, jakkolwiek od lat kilku wycofał się już zupełnie ze wszystkich interesów. „Uncle Russel“ jak go powszechnie w Nowym Jorku nazywano, był jedną z owych śmiałych, ale i pozbawionych skrupułów natur, których nie powstrzymują żadne sentymentalne względy, gdy chodzi o zdobycie zysku materyalnego.

Urodzony dnia 4 sierpnia 1816 roku w Stanie Nowojorskim, miał Russel Sage lat blisko 90.

Karyerę kupiecką rozpoczął jako handlarz towarami kolonialnymi, następnie pośredniczył w różnych interesach, zaopatrywał okręty handlowe w towary, a gdy miał już pierwszy milion w kieszeni, rzucił się z całą energią na spekulacyę akcyami kolejowemi i telegraficznemi.

Bardzo niskiego pochodzenia, nie odczuwał wcale potrzeb sztuki, ani nauki, jakkolwiek zebrał majątek wynoszący 150 milionów dolarów, żył bardzo skromnie, oszczędny był do skąpstwa.

Kupował sobie trzy garnitury rocznie po 10 dolarów, a mimo to był zawsze przyzwoicie ubrany, gdyż miał wielkie staranie o swoją odzież, a buty n. p. zawsze czyścił sam.

Dla oszczędności jadał śniadanie wraz z pracownikami Towarzystwa telegraficznego Western Union, którego był dyrektorem.

Nie palił, nie pił, jedyną jego namiętnością była hodowla pięknych koni, lecz i na tem zarabiał, gdyż sprzedawał je następnie po wyższych cenach.

Słowem był to wymierający już typ milionera amerykańskiego XIX stulecia, który nie dbał o reprezentacyę zewnętrzną, o zbytek, o arystokratyczne małżeństwa córek.

Małżonka jego, chcąc uniemożliwić złodziejom ukradzenie zwłok, dla zyskania bogatego okupu, jak się to stało ze zwłokami milionera Stewarta, kazała sporządzić grobowiec stalowy, z automatycznymi aparatami alarmowymi.

Grobowiec waży 6 ton, kosztuje 35 000 dolarów.

Groźne zajście w Egipcie.

Przed kilku tygodniami kilku oficerów angielskich zabawiało się strzelaniem do gołębi w locie na łąkach prywatnych koło Denchawai (prowincyi Menonfieh).

Przypadek zdarzył, że wśród tej — zresztą wstrętnej — zabawy sportowej zraniono jakąś kobietę z miejscowej ludności i wzniecono pożar w zabudowaniach pewnego Egipcyanina.

Wojownicy plemienia, które się tem uczuło dotknięte do żywego, nadbiegli zbrojni, dysząc zemstą.

Anglicy jednak nie darowali. Wzięto się do masowego aresztowania. Wreszcie zebrał się trybunał angielski, który po krótkich rozprawach wydał wyroki surowe — bez litości.

Zaraz nazajutrz przystąpiono do spełnienia wyroków.

Do Denchawai przyprowadzono 4 ludzi na śmierć skazanych, oraz ośmiu, uznanych mniej winnymi, których miano publicznie oćwiczyć rózgami.

Na miejscu stracenia haniebną eskortę stanowili dragoni angielscy i żołnierze egipscy. Czterech skazanych z ludności miejscowej powieszono wśród jęków ośmiu ich ziomków, smaganych do krwi rózgami.

Wokoło tłum wył groźnie przeciwko takiemu okrutnemu sposobowi wymierzania sprawiedliwości angielskiej.

Po całej okolicy poszły szmery oburzenia, które nic dobrego nie wróżą Anglikom.



Tajemniczy zamach na pociąg: Wykolejenie się pociągu pośpiesznego Paryż-Kolonia koło stacyi Ergulines w Belgii.

Tajemniczy zamach na pociąg.

Przed kilku dniami wykoleił się pociąg pośpieszny Paryż-Kolonia między stacyami Labussiere a Solve koło Ergulines w Belgii. Przyczyną było wyrwanie szyny na torze.

Lokomotywa spadła z nasypu. Palacz został zabity na miejscu, maszynista ciężko ranny. Na szczęście prócz nich nie odniósł szwanku nikt z podróżnych.

Obiegają rozmaite pogłoski o wykolejeniu się pociągu tego. Jak słychać, był to zamach wykonany z tego powodu, ponieważ przypuszczano, że w pociągu jechał w. ks. Włodzimierz Według innej wersyi chciano wykonać zamach na pociąg w celach rabunkowych. To ostatnie przypuszczenie wydaje się prawdopodobniejsze, gdyż w. ks. odjechał do Petersburga już dnia poprzedniego.

Ofiara mordu politycznego.

Bezrobocie garbarzy w Warszawie załatwiono pomyślnie dzięki interwencyi i staraniom Narodowego związku robotniczego. Większość pracowników garbarskich postanowiła wobec tego wycofać się z szeregu partyi skrajnych i zapisać się do Narodowego związku robotniczego. Naturalnie — postanowienie to nie podobało się warszawskim socyalistom, którzy poprzysięgli zemstę.

Jednym z głównych działaczów Narodowego związku robotniczego był Walenty Baranowski, człowiek młody, lat 24 liczący, wykształcony, energiczny, zdający sobie dobrze sprawę z ruchu robotniczego i jego objawów chorobliwych On to na wiecach umiał przekonać robotników, że szczęście ich i dobrobyt nie leży w strejkach i awanturach, był więc solą w oku partyi skrajnych.

Widząc, że rozłam jaki utworzył się w zawodzie garbarskim, nie jest jeszcze zwycięstwem idei narodowej, pracował dalej z powodzeniem w tym kierunku.

Nie podobało się to socyalistom i zapowiedzianą zemstę wywarli.

W ubiegły czwartek o godz. 1 min. 30 po poł. w bazarze przy ul. Leszno pod nr. 40 zabity został wyżej wspomniany Walenty Baranowski.

Ś. p Baranowski wiedział o przygotowanym zamachu na jego życie, otrzymał w ostatnich dniach kilka wyroków śmierci, lecz nie uląkł się tych pogróżek. Dla obrony życia kupił rewolwer i uprosił jednego ze swoich przyjaciół, Bolesława Pajdowskiego do towarzyszenia mu w jego wycieczkach. Baranowski i Pajdowski byli w fabryce garbarskiej Blunka, przy ul. Nowolipie, z której wyszli o godz. 1 min. 25 po poł.

B. z garbarni udał się do bazaru sąsiedniego, aby przejść na ul. Leszno, spostrzegłszy jednak kilku podejrzanych osobników, wpadł do sklepu szkła Haftersza. Napastnicy dali za nim kilka strzałów, które rozbiły szyby w oknach. B. jednak szybko przebiegł sklep i wybiegł na drugie podwórze i tu padł martwy, ugodzony dwoma strzałami w szyję i piersi. Napastnicy po strzałach zbiegli.



Fot. zakład J. Raczyńskiego, Warszawa.
Ofiara mordu politycznego: Wyprowadzenie z fabryki garbarskiej Munka (Nowolipie 46) ś. p. Walentego Baranowskiego, robotnika narodowca z Zagłębia Dąbrowskiego, ofiary walki bratobójczej.

Towarzysz ś. p. B., Pajdowski, tak się przeraził całem tem zajściem, iż nie mógł udzielić żadnej pomocy i stanął bezradny. Na tę chwilę nadbiegł patrol i sądząc, iż P. jest jednym ze sprawców strzałów, aresztował go.

Śmierć ś. p. Baranowskiego lotem błyskawicy obiegła garbarnie warszawskie i przejęła głębokim żalem wszystkich pracowników.

Zwłoki przeniesione zostały z bazaru do garbarni p. Blunka przy ul. Nowolipie i tam złożone na tymczasowych marach.

Zbrodnia ta w całem mieście wywarła ogromne wrażenie. Ulica Nowolipie tak była zapełniona tłumem, że komunikacya uległa zupełnej przerwie. Tysiące cisnęły się, aby ujrzeć zwłoki biednego męczennika. Towarzysze i przyjaciele zmarłego z trudem zdołali utrzymać porządek. Płacz rozlegał się po całej ulicy, nie brakło okrzyków nienawiści dla sprawców mordu. Przy zwłokach ś. p. B ustawiono światło i grupa robotników narodowców z własnej woli ustawiła straż honorową. Do straży tej stanęło kilkadziesiąt robotnic z fabryki „Noblesse“. Kosztem właściciela garbarni p. Blunka zwłoki zostały odfotografowane. Zaczęły się sypać ofiary na pogrzeb dla zabitego, na wieniec i t. p.

Wieczorem po zamknięciu fabryk tłum się zwiększył. Z różnych stron przybyli robotnicy, aby pomodlić się przy zwłokach ofiary zawiści partyjnej.

Rozsądniejsi pracownicy fabryk musieli użyć ogromnego wpływu, aby nie dopuścić do zajść krwawych, gdyż pogróżkom wygłaszanym na ulicy wśród zgorączkowanych tłumów nie było końca.

Zmarłego głośno nazywano „dobrodziejem“, bo-



Echa Dumy: Gwardya rosyjska przed pałacem Zimowym w Petersburgu: warta honorowa, której użyto w czasie uroczystego otwarcia Dumy państwowej.

haterem", który tysiące rodzin ochronił od głodowej śmierci, dzięki swojej wymowie i usilnym zabiegom.

Grono pracowników garbarskich oświadczyło chęć pochowania ś. p. B. swoim kosztem.

Zwłoki ś. p. Baranowskiego przeniesiono do kościoła na Lesznie, skąd odbył się pogrzeb w sposób uroczysty przy udziale tłumów.

Międzyparlamentarna konferencya pokojowa.

Międzynarodowa konferencya pokojowa, która w tym roku obradowała w Londynie, miała tym razem ważniejsze niż kiedykolwiek zadanie. Na porządku dziennym znajdowały się bowiem dwa wnioski niezmiernie doniosłe dla przyszłości międzynarodowego ustawodawstwa. Są to przekazane przez poprzednie konferencye międzyparlamentarne projekty, mające na celu rozszerzenie znaczenia i powagi uchwał międzyparlamentarnych konferencyi. Wnioski te mieli przedstawić wybrani poprzednio referenci lord Weardale i Ernest Plener, b. minister skarbu austryacki, a obecnie prezydent najwyższej Izby obrachunkowej w Wiedniu. Lord Weardele przedłożył wnioski o utworzeniu międzynarodowego parlamentu, złożonego z delegatów wszystkich parlamentów świata. Jest to nowy objaw na polu odczuwanej potrzeby porozumienia się w pewnych ogólnoludzkich sprawach, nowy objaw tego ducha powszechności międzynarodowej, który świadczy o coraz szerszych zakresach ustawodawstwa światowego. Lord Weardale domagał się powołania do życia parlamentu międzynarodowego i tym sposobem uczynił ważny krok naprzód, który znaczyć będzie zwycięstwo kultury i cywilizacyi ludzkości i przyczyni się niewątpliwie do usunięcia i naprawy tego zła, jakie obecnie panuje. Drugi referent, Plener miał przedstawić wniosek amerykański, uchwalony na konferencyi międzyparlamentarnej w St. Louis, polecający wypracowanie wzorowej formy międzynarodowego układu, rozszerzającego granice spraw, polubownie w Haadze sądzonych.



Międzyparlamentarna konferencya pokojowa: Goście rosyjscy w Londynie, uczestnicy międzynarodowej konferencyi pokojowej: **Prof. Kowalewski z żoną,** Wasiliew z żoną i Aładin.

Oczywiście — nikt nie będzie mniemał, by konferencya wydać mogła jakieś dotykalne owoce. Wynika to już z natury owych peryodycznych zjazdów. Członkowie bowiem konferencyi nie przywożą z sobą żadnych pełnomocnictw ani od swych rządów, ani też od ciał ustawodawczych, do których należą. Rezolucye więc konferencyi są z góry skazane na to, by były jedynie pobożnemi życzeniami. I tym więc razem nie inny los przypadł uchwałom konferencyi. Wszystkie one nie sięgają poza ramy platonicznych życzeń — nie wyjąwszy ani proponowanego przez dr Plenera wzorowego tekstu międzynarodowych traktatów polubownych, ani też projektu pewnych nowych norm, które mieliby uszanować w razie wojny kombatanci w interesie ludzkości. Póki rządy nie uznają słuszności tych uchwał, a raczej nie zechcą zgodzić się na ich przyjęcie dobrowolnie, pozostaną rezolucye konferencyi martwą literą. Międzynarodowym tym konferencyom nie brak zresztą innych jeszcze zasadniczych braków. Wskutek okoliczności mianowicie, że w obradach brać mogą udział członkowie korporacyj parlamentarnych wszelkiego rodzaju, zdarza się stale, że pewne ludy mają na każdej konferencyi niestosunkowo liczną reprezentacyę. Tak np. najsilniej reprezentowane bywa stale państwo, w obrębie którego odbywa się konferencya, może więc bez trudu przeprowadzić wszystkie swe życzenia. Tym razem oczywiście przewagę taką mieli Anglicy. Dlatego też postawił dr Herold wniosek, aby na konferencyi miało każde państwo tylko pewną, z góry ściśle określoną liczbę głosów do rozporządzenia. Ale wniosek ten upadł, gdyż inny z uczestników zarzucił mu — i nie bez pewnej słuszności — że byłoby rzeczą niesłychanie trudną obmyślić sprawiedliwy miernik dla takiej repartacyi. Gdyby bowiem przy wyznaczeniu liczby głosów kierowano się liczbą ludności pewnego kraju, to pewnego pięknego poranku Chiny, ogłosiwszy u siebie konstytucyę, zapewniłyby sobie tem samem stanowczą na konferencyi przewagę.

Mimo jednakże braków, z których międzyparlamentarne konferencye nigdy się nie otrząsną i które zaciężyły także na tegorocznej konferencyi, zdaje się rzeczą pewną, że przy ich pomocy popularyzacya idei pokojowej czynić będzie coraz większe postępy, że więc spełnią ważne zadanie — zredukują liczbę wojen do „minimum". Podnieść również należy inną ważną okoliczność. Oficyalną część programu załatwiła konferencya bardzo szybko — i tym razem wyznaczono jej zaledwie trzy dni pracy, co ze względu na materyał obrad było chyba stanowczo za mało. Ten krótki wymiar czasu dla pracy wynagradza jednak wpływ osobistego zetknięcia się przedstawicieli różnych państw i ludów. Bądź co bądź wszyscy uczestnicy opinią swą zaważyć mogą na szali do pewnego stopnia zdarzeń. Dla tego też z konferencyi wyjeżdżano z tem silnem przeświadczeniem, że (przynajmniej w Europie) wojna z powodu błahostek jest dzisiaj niemożliwa, że chyba bardzo poważne przyczyny, konflikty, których już w żaden inny sposób załatwić nie można, wywołać są w stanie starcie orężne.



Mord z za płota: I. Herzenstein, były poseł moskiewski do Dumy państwowej, zabity przez skrytobójców w Teriokach w Finlandyi.

Mord z za płota.

Przywódca partyi kadetów, jeden z najświetniejszych mówców rozwiązanej Dumy państwowej, twórca projektu agrarnego i przewodniczący komisyi rolniczej, jeden z tych prawdziwych bohaterów myśli i czynów odradzającej się Rosyi, b. poseł moskiewski Herzenstein — został zabity w Terjokach. Kaci ukryci zostali po za płotem, i stamtąd rozległy się dwa celne wystrzały, które



Mord z za płota: Meeting w Teriokach w Finlandyi, protestujący przeciw zamordowaniu przez spiskowców posła Herzensteina na terytoryum finlandzkiem.

przeszyły pierś przechadzającego się z żoną i córkami bojownika sprawy wolności. Zabójcy uciekli. Jakieś tajemnicze siły, rzucające posiew nieszczęść i katastrof, wykonały wyrok śmierci na człowieku oskarżonym o to, że niósł przodem wielką pochodnię światła i szczęścia.

W ostatniej chwili, dzienniki petersburskie donoszą, że władze policyjne przyznają, iż Herzenlandyi za Petersburgiem). Załączona obok portretu posła Herzensteina fotografia, przedstawia właśnie scenę z takiego meetingu w Terjokach.

W Moskwie odbyły się w tych dniach tłumne demonstracye ku czci zabitego, przed jego mieszkaniem.

zupełnie już przestano najmować, i kapela ta zaczyna na siebie zarabiać, pozyskując ogólną sympatyę.

Orkiestra więc strażacka zajmuje obecnie stanowisko kapeli miejskiej, które posiada wiele zachodnich miast (w Paryżu orkiestra gwardyi municypalnej, w Krakowie Harmonii, w Wiedniu strażacka) i prawdopodobnie byt jej jest już ustalony.



Echa Dumy: Po rozwiązaniu Dumy rosyjskiej posłowie chwilowo obradujący poufnie w Wyborgu w Finlandyi, informują korespondentów dzienników politycznych o treści powziętych przez siebie uchwał.

stein padł ofiarą spisku. 22 osoby podejrzane o udział w tym spisku potwornym, podobno aresztowano.

W Terjokach zbrodnia ta nikczemna wywołała doraźnie wielkie oburzenie. Na publicznym meetingu Finlandczycy protestowali głośno przeciwko podobnym mordom z za płota na ich terytoryum (Terjoki są pierwszą stacyą już w obrębie Fin-

Orkiestra strażacka warszawska.

Od czasu zgrania się niedawno założonej w Warszawie orkiestry strażackiej pod batutą kapelmistrza, p. Sielskiego, orkiestra ta, składająca się z samych Polaków, brana jest na wszelkie zabawy publiczne zamiast orkiestr wojskowych, które

Katastrofa na wystawie w Medyolanie.

Katastrofa w Medyolanie, o której doniosły depesze, dotknęła przedewszystkiem międzynarodową wystawę sztuki. Wspaniałe budynki, w których pomieszczono dzieła sztuki stosowanej, leżą obecnie w gruzach. Dział austryacki pozostał nie-



Orkiestra strażacka warszawska: Dzielna kapela straży ogniowej warszawskiej, ze swym dyrektorem, p. Aleksandrem Sielskim (w białym kitlu) pośrodku. Na pierwszym planie siedzą od lewej strony: ogniomistrze kap. Pleczko i St. Dunin, naczelnik straży brandmajor Anatol Sudrawski; ogniomistrze kap. Łosiewski i Isajenko.

tknięty. Natomiast węgierski zgorzał do szczętu. Wystawa węgierska mieściła się wśród pawilonów wystawowych, w miejskim parku, a mianowicie w lewym trakcie olbrzymiego gmachu dla sztuk pięknych i dekoracyjnych. W prawem skrzydle mieściła się włoska wystawa obrazów i włoska wystawa sztuki dekoracyjnej.



Katastrofa na wystawie w Medyolanie: Fragment z głównej alei wystawy międzynarodowej w Medyolanie: Pałac sztuk pięknych, gdzie wielki pożar zniszczył w tych dniach cenne zbiory sztuki w oddziałach węgierskim i włoskim.

Dział węgierski obejmował 12 mniejszych i większych sal. Mieściły się w nich okazy węgierskiego przemysłu domowego i przemysłu artystycznego i przemysłu stosowanego. W pierwszej sali, stanowiącej przedsionek, oglądać było można statuę „Hungaria“ i studnię marmurową. W dalszych salach wystawione były urządzenia mieszkań, któremi zachwycała się cała prasa zagraniczna. Były tam meble, przedmioty z majoliki, szkła i bronzu, mozaiki, emalie, ozdoby, przedmioty ze skóry, galanteryjne, hafty, dywany i t. p. Najznamienitsi węgierscy przemysłowcy wzięli udział w tej wystawie. Przeważna liczba przedmiotów była asekurowana. Dokładnie oznaczonej cyfry szkody nie dało się dotąd ustalić. Jedni utrzymują, iż wystawa węgierska ponosi stratę przeszło miliona lirów, inni, jak np. zarząd Muzeum przemysłu artystycznego, ocenia szkodę na 400 000 lirów, a ministerstwo handlu na 200.000 lirów. Późniejsze relacye podnoszą stratę do 6 milionów. Ogólną szkodę zniszczonych ogniem budynków i przedmiotów podają na 15 milionów lirów.

Zaledwie 100 przedmiotów z wystawy węgierskiej zdołano uratować, między innymi kasę wartości 70.000 lirów. Lecz nie idzie tu jedynie o szkodę materyalną. Ofiarą płomieni padły prawdziwe arcydzieła sztuki i przemysłu artystycznego. Ogień zniszczył 28 wspaniale udekorowanych pokoi, całą wystawę koronek, urządzoną przez budapeszteńskie Towarzystwo handlowe. Niepowetowaną szkodę zrządził ogień, niszcząc historyczną wystawę szkolną.

Przeszło 500 firm dotyka ta klęska. Cała wystawa firmy Ricordi spalona. Pastwą płomieni padły też oryginały partytury „Traviaty“ Verdiego, Złodziejskiej sroki Rossiniego, „Giocondy“ i „Polubionych“ Ponchiellego. W pawilonie dla włoskiej sztuki dekoracyjnej spaliła się koronka dla królowej Małgorzaty przeznaczona, wartości 15 tysięcy lirów. Płomienie pochłonęły prześlicznie wyrzeźbiony z drzewa model tumu medyolańskiego, który kosztował 22 lat pracy, a za który pewien Anglik ofiarował 100 000 lirów. Właściciel zaasekurował ten model tylko na 22 000 lirów.

Szkody wystawców są tem większe, że przedmioty te spłonęły przed wydaniem orzeczenia przez jurorów wystawy. Dodać wypada, że od początku wystawcy uskarżali się zawsze na brak dozoru.

* * *

Co do przyczyn pożaru — zdania są różne. Mniemanie, jakoby przyczyną było krótkie „spięcie“ oświetlenia elektrycznego, zbija kategorycznie Towarzystwo elektryczne „Edison“, które przeprowadziło instalacyę, gdyż w 10 minut po północy zgaszono tam już światło, a pożar wybuchł o godzinie wpół do 4 rano.

Coraz więcej ustala się więc przekonanie, iż ogień został podłożony zbrodniczą ręką. Opowiadają, że schwytano na kilka dni przed pożarem anarchistę, który wybijał szybę w dziale sztuki dekoracyjnej i który miał powiedzieć:

— To, czego ja spełnić nie mogłem, zrobią inni.

Podejrzenie pada na czterech niezadowolonych dozorców, gdyż są świadkowie, którzy słyszeli ich pogróżki. Mianowicie kelner z pewnej restauracyi opowiedział komitetowi wykonawczemu, że w sobotę przyszło czterech dozorców do bufetu, gdzie on usługuje. Byli prawie pijani i ciągle odgrażali się, że „budynkom wystawowym coś się stanie“ a zwłaszcza pawilonowi sztuki dekoracyjnej. Jeden z tych dozorców miał powiedzieć:

— Zobaczycie, co się stanie z tym pawilonem! Jedna zapałka wystarczy, aby znikł również balon inżynieryi wojskowej.



Katastrofa na wystawie w Medyolanie: Pałac sztuki dekoracyjnej, której wspaniałe zbiory w oddziałach włoskim i węgierskim, spłonęły prawie doszczętnie przed kilku dniami.

Adam Ludwig.

Artysta, którego podobiznę podajemy równocześnie, jest w składzie personalu lwowskiej opery, postacią zaiste wyjątkową, tembardziej, iż na jedno z naczelnych stanowisk wstąpił niemal od razu pasowany na pierwszorzędnego śpiewaka.

Ten pas rycersko-śpiewaczy uzyskał nie drogą wyjątkowych faworów lub protekcyi. Zdobył go odrazu w zwycięskim boju za pomocą wielkich zdolności zarówno śpiewaczych, jak aktorskich; zarówno za pośrednictwem wybitnej muzykalności jak niezwykłej inteligencyi. Pracę sceniczno-śpiewaczą, rozpoczął Ludwig dość wcześnie, bo podczas studyów uniwersyteckich — a rozpoczął ją na scenie skarbkowskiej w „Pajacach“ i „Kawaleryi“ — przyjęty nader przychylnie przez muzykalną publiczność lwowską i prasę. Występ ten poprzedziły gruntowne studya wokalne u Souvestrów w Dreźnie, oraz sumienne, własne przygotowania do śpiewaczego zawodu. Po zamknięciu sceny skarbkowskiej, przenosi się Ludwig na scenę nowego teatru, lecz fatalne stosunki artystyczne, tudzież intrygi zakulisowe wygnały entuzyastę i sztuką żyjącego artystę, do domowego zacisza. Usunąwszy się, nie przestaje jednak pracować dalej pod sztandarem sztuki, występując w koncertach filharmonii lwowskiej i urządzając koncerta na prowincyi. Pracując też wytrwale w obranym zawodzie, występuje w broszurze „W obronie bytu polskiej opery“ przeciw fatalnym wówczas stosunkom w teatrze lwowskim i zdaje egzamin państwowy



Adam Ludwig, artysta opery lwowskiej.

z muzyki w Pradze. Przychodzi mu to tem łatwiej, ile że poza fachem śpiewaczym, gra biegle na skrzypcach i fortepianie. W r. 1903 bierze Ludwig udział w imprezie operowej dyr. Hellera w Krakowie i Łodzi, po której zamknięciu przyjmuje obowiązki sekretarza kasy chorych w Stanisławowie. Tu zakłada chór robotniczy prosperujący wybornie, organizuje z amatorów miejscowych przedstawienia operowe, a po części bierze gorliwy udział w akcyi politycznej. Oprócz talentu muzycznego i aktorskiego, posiada Ludwig jeszcze i jeden talent rzadki u śpiewaków... talent oratorski. Kilkagodzinne mowy niejednokrotnie, wśród niesprzyjających warunków atmosferycznych, nie wpływają ujemnie na rozwój nietylko pięknego, ale i wspaniałego barytonu, jakim rozporządza doskonały ten śpiewak, lecz kto wie, czy nie pomagają mu do rozwinięcia się i utrwalenia siły głosu, tudzież dobrej szkoły, w jaką go uzbroili Souvestrowie, bo w chwili, kiedy dyr. Heller wezwał go do apelu, stanął on jak towarzysz pancerny, zbrojny i strojny w talent, głos, doświadczenie śpiewacze, wzmocnione doświadczeniem mowcy, a stanął w pierwszym szeregu i na miejscu naczelnem.

Jakim jest Ludwig jako śpiewak i artysta, zbytecznem byłoby wspominać, gdyż poza wysoce pochlebnemi referencyami pism codziennych i my dawaliśmy w ciągu obecnego sezonu niejednokrotnie wyraz uznania. To tylko dodać musimy, iż poza obecnie śpiewanemi partyami, z których każda jest kreacyą skończoną, p. Ludwig jest jedynym z polskich barytonów, mogącym się poszczycić największym repertoarem polskim. Dość wymienić takie partye jak Wołodyjowskiego („Pan Wołodyjowski“ Skirmunta) Saranaresa („Urvasi“ Dłuskiego), Zbigniewa („Mazepa“ Müncheimera) i cały szereg partyj oper, stale na repertoarzu polskich scen się utrzymujący.

Z temi zaletami, z tym entuzyazmem do sztuki, pięknie zapowiada się prosta linia karyery młodego śpiewaka, któremu z całego serca życzymy powodzenia i sprawiedliwego uznania. —*urs.*—

„Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał Bronisław Mazowiecki.

18 (Ciąg dalszy).

Ciarki przeszły po jej ciele. Ale nie drgnęła z miejsca, nadsłuchując pilnie. Za chwilę wyraźniej zapukano do okna.

Jeszcze nie dniało. Za oknem było ciemno zupełnie, podobnie jak w jej pokoju, gdzie ogień wygasł w piecu przed wieczorem, a lampy jeszcze nie zaświecała umyślnie. Co to miało znaczyć — myślała w trwodze. Wtem usłyszała pod oknem:

— Jasna pani dziedziczko...

W ciszy rozpoznała akcent żydowski w tych słowach. Czyżby Moszko? Ale o tej porze... Podeszła na palcach do okna i stanęła z boku, chcąc wyjrzeć przez szybę, sama niedostrzeżona. Jednakże nic nie zobaczyła, bo mróz szyby zamalował srebrnemi kwiatami, a śnieg grubym wałem osiadł na gzemsie.

Pukanie mocniejsze końcem kija w szybę powtarzało się raz za razem w wielkich czasu odstępach.

— Proszę jasnej pani... niechno dziedziczka wsta- zaraz — mówił wyraźnie Moszko pod samem ıem, tak, że nie mogła mylić się co do jego o-.y. Więc palcem stuknęła w szybę na znak, że .zy. A wtedy faktor, zauważywszy to, odezwał głosem przyciszonym:

— Niech dziedziczka wyjdzie... sanie czekają zaraz za figurą... Nie można było czekać do wieczora, bo dowiedzieliby się we dworze... Niech się jasna pani pośpieszy tylko z ubieraniem... Ja tu postoję i zaprowadzę do furmana...

Teraz zrozumiała... Więc pośpiesznie zapaliwszy lampę, dokończyła się ubierać, zabrała swój tłomoczek i będąc już gotową, zgasiła naraz światło, chcąc tem dać znak Moszkowi, iż wychodzi. Istotnie na skutek tego faktor poskoczył na ganek, na którym schody pod zmarzłym śniegiem zaskrzypiały...

Mroźno było tak na dworze, aż tchu w piersiach zabrakło kobiecie, gdy zeszła z ganku na dziedziniec i znalazła się w otoczeniu puchów śnieżnych..

Moszko prowadził ją.

Sama nie wiedziała dokąd idzie i którędy, tak naokół wszystko było śniegiem zawiane.

Szli razem kilka długich minut, w ciągu których dziedziczka dygotała widocznie i z zimna i z jakiegoś wewnętrznego lęku.

Aż naraz żyd przystanął.

— Tutaj, proszę pani dziedziczki...

Obejrzała się i z boku za węgłem budynku spostrzegła coś ciemnego.

Tam się zwrócili oboje.

Pod ścianą stały sanie chłopskie, zaprzężone we dwa konie, obok nich zaś stał furman w kożuch tak zamatulony, iż go niemal widać nie było.

— Nu, niech teraz jasna pani mnie powie, czy Moszko nie jest porządny żyd... Obiecał i wszystko jest, jak ma być... Nawet jest więcej, niż być miało, bo są na saniach koce... Będzie ciepło... można okryć się przed śniegiem, żeby nie zasypał ze wszystkiem po uszy, bo tak bestya sypie, jakby już nie miał co lepszego do roboty...

Podczas tych żartów Moszka dziedziczka wsiadła na sanie i o tyle, o ile, poprawiła się kocami, oblepionemi białą warstwą śniegu.

— Nie będzie to podróż wygodna — pomyślała sobie i przyszło jej na myśl zarazem, że naraża zdrowie, wybierając się w dłuższą drogę w taki sposób — bylebym się tylko nie przeziębiła...

— Nu... szczęśliwa droga — zawołał żyd — wszystko gotów... możecie jechać...

— A daleko to do świtu — zagadnęła naraz strwożona ciemnością podróżna.

— Zaraz będzie jasno, niech się jasna pani nic nie boi — odparł żyd pośpiesznie.

— A furman zna drogę, pewny jesteś tego, Moszku... może to niebezpiecznie jechać w tak wielką zamieć... Ja się boję ruszać w drogę, póki tak ciemno jeszcze...

Żyd żachnął się, chciał coś powiedzieć, ale się wstrzymał w porę.

Wtem tuż za nimi koń zarżał. Zdziwiło to dziedziczkę, nie mogła się bowiem zoryentować, skąd ten blisko głos pochodził. Żyd się zaśmiał.

— To takie mroźne powietrze i dlatego zdaleka bardzo tak słychać wszystko.

— Możebyśmy jednak zaczekali — nalegała znowu pani Edwardowa — dopóki dzień się nie zrobi.

Moszko nachylił się do jej ucha, jak gdyby nie chciał być słyszanym przez furmana — i szepnął tajemniczo:

— Czy pani koniecznie potrzebuje, żeby się dowiedzieli we dworze... A jak pani będzie czekała, zwlekała, to pani na miejsce nie dojedzie... Ja się staram, ja biegam na mróz, na śnieg po nocy za końmi, za furmanem, sanie sprowadzam, żeby tylko prędko zrobić wszystko, nim się kto potrzebuje dowiedzieć we dworze, a jasna pani dziedziczka jeszcze grymasi... Nu, jak pani zresztą chce, ja swoje zrobiłem, ale po co ja potrzebowałem kłopotać się o takie rzeczy...

— Jedźmy — przerwała głośno, rozdrażniona jego tonem kobieta, a Moszko na to potrącił w ramię furmana i w bok odskoczył.

Bat gwizdnął w powietrzu.

Konie ruszyły i w jednej chwili sanie z panią Edwardową znalazły się daleko od folwarku wśród ogromnej przestrzeni śniegiem wybielonej, na której nie widziała już nic, prócz tej białości oślepiającej i odczuwała tylko zimno dotkliwe...

A ledwie płozy z miejsca ruszyły, uwożąc dziedziczkę, żyd szybkim krokiem poskoczył za budynek gospodarski, przed którym oczekiwały konie na panią Edwardową.

Chrząkając głośno, obszedł go dokoła. Z przeciwnej strony stały również sanie, ale innego kształtu i w lepsze konie zaprzężone. Jeden z nich właśnie rżał przed chwilą i nie dziw, że bliskość głosu końskiego zaintrygowała na moment dziedziczkę.

— Pojechała nareszcie — odezwał się teraz głos w ciemnościach — udało się Moszkowi...

— Co mnie się potrzebowało nie udać... Nu, ja trudniejsze robiłem geszefty w swojem życiu, a już trochę czasu przecież żyję na świecie...

Co mówiąc, wskoczył żyd na sanie, które okrążywszy budynek, wjechały na drogę i w jednej chwili znalazły się przed gankiem folwarcznym.

Konie w uprzęży dzwonków nie miały, a śnieg leżał już warstwą bardzo grubą, więc zajechano przed dom tak cicho, iż nie mogło to zbudzić nikogo wewnątrz. Zresztą w samym dworku spał tylko ksiądz Jan, dziedziczka wyszła z domu przed kwadransem, a służba i tak noce spędzała obecnie jedynie w oborze.

Moszko zeskoczył z sanek i pomógł z nich wysiąść kobiecie.

Któżby nią był, jeśli nie siostra Felicya.

Woźnica nawrócił, żeby do stajni konie zaprowadzić, a tercyarka weszła z żydem na ganek, otrzepali się ze śniegu, poczem za chwilę, już przy świetle siedzieli w pokoju, który co dopiero opuściła żona pana Edwarda.

Ważną mieli z sobą naradę. Jakkolwiek nikt ich słyszeć nie mógł, rozmawiali wszakże ciągle szeptem.

Były chwile, że żyd się unosił i wówczas parę słów powiedział głośniej; wtedy zaraz mitygowała go Felicya. Przeciwnie, znowu nieraz ona głos podniosła, a wówczas Moszko pytał zcicha:

— Po co pani potrzebuje tak krzyczeć...

Żyd darł w brodzie włosy, wstawał nagle z krzesła i zaczynał przechadać się w podnieceniu, nawet biegać po pokoju. Niekiedy znowu Felicya z pięściami zaciśniętemi przyskakiwała mu do oczu, aż się Moszko cofał do drzwi..

Dość, że narady ich były burzliwe, a sprawa, jaką omawiali potajemnie nocą na folwarku, musiała być nie małej wagi.

Z urywanych słów, głośniej wypowiedzianych, nie mógłby był nikt wywnioskować, o co idzie.

— Na to się Niemiec nie zgodzi! — padało często z ust Moszka.

— Nieprawda — wołała Felicya — zgodzi się Niemiec, tylko ty Moszku chciałbyś odrazu zrobić na takim jednym interesie majątek złoty... i dlatego utrudniasz sprawę... Jeśli będziesz dalej tak prowadził ten interes, to ja sama na własną rękę i bez twego pośrednictwa, rzecz całą załatwię... Zobaczysz, że ja gotowam choćby dziś jeszcze zobaczyć się z tym Niemcem osobiście...

— Cicho, sza, niech pani uważa, bo kto usłyszy...

— — — — — — — — — — — —

Sanie, uwożące z folwarku dziedziczkę, sunęły po śniegu gładko tak szybko, że podróżnej wydawało się chwilami, iż albo furman przewróci sanie, albo ją z nich po drodze w śnieg wysypie...

Na każdym zakręcie starała się trzymać rękami boków sani, byle nie wypaść.

Myślała nad tem, co za dobre konie znalazł jej faktor, niczem dworskie... To może i lepiej nawet, będzie prędzej, bo gdyby droga miała trwać długo, czuję, że zamarzłabym na tych sankach.

Koło małego gaju przejechali właśnie, gdy wtem z boku, dzwoniąc hałaśliwie, wypadła jak wiatr czwórka gniada.

Tuż koło pani Edwardowej pomknęły piorunem konie dworskie. Prócz woźnicy siedział jeden człowiek w saniach, ale nie można było rozpoznać, kto nim był.

W futrze zaśnieżonem przywidział się pani Edwardowej mąż jej, co było tem prawdopodobniejsze, ile że sanki i czwórka gniada napewne były z ich dworu.

Ale dokądżeby mógł Edward tak pędzić w tej chwili.

Jechał w przeciwnym kierunku, aniżeli ona, a zatem możnaby sądzić, że właśnie w stronę folwarku.

Myśl ta intrygowała ją, ale jakoś nie łatwo jej było zwierzać się z tą myślą przed furmanem.

Mimo to jednak zdecydowała się zapytać go w przekonaniu, że jest to człowiek zgoła jej obcy, który myśli jej nie zrozumie nawet.

— Słuchaj no, czy to były konie dworskie?

Odpowiedzi nie było na jej pytanie.

— To zdaje się pan dziedzic sam pojechał tą czwórką... nie widziałeś, co?

Furman milczał. Tylko konie popędzał, drażniąc je końcem biczyska.

— Przecież chyba nie jest niemową — myślała, przypominając sobie, że wogóle jeszcze głosu jego nie usłyszała ani razu.

Chciała ręką trącić furmana w ramię, przypuszczając, że może nie dosłyszał jej głosu, cały zakutany w kożuch niemal po same czoło; ale pędzili ciągle tak szybko, że musiała oburącz trzymać się siedzenia, by nie wypaść z sanek i zaniechała tego zamiaru.

(Cięg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarady.

I.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Pierwsza-piąta droga — dobra dla roweru,
Do jazdy drogowej, jak i do spaceru.
Druga-trzecia litery w polskim alfabecie,
A że blizko siebie — więc łatwo znajdziecie.
Piąta i czwarta przeżyli czas długi —
Cały publiczności gotów na usługi.

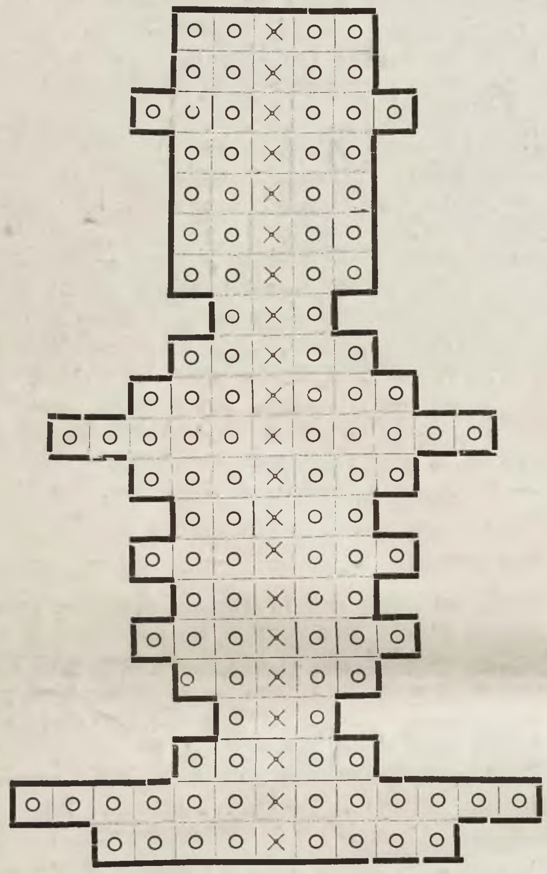
II.

Ułożyła H. Mokrzycka, Turbia.

Pierwsza wspak i druga wspak
To litery pewne,
Ułożone blizko siebie,
I kształtem pokrewne,
Trzecią, jeśli się zdarzy,
Że panna ma w oku,
Duży trzeba dać posag,
Bo niema uroku.
Całość — bogini msty i kary,
Nieraz ją Grek przeklinał stary.

Zagadka.

Ułożył A. Pfeiffer, Przemyśl.



Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, utworzyły określenie niedawno odbytej uroczystości sokolej w jednem z większych miast Galicyi.

Znaczenie wyrazów: 1, Pospolite u nas imię męskie. 2. Jedna z najlepszych powieści Prusa. 3. Przedmieście Warszawy. 4. Dawny rosyjski premier ministrów. 5. Potrawa płynna, zwykle spożywana przy obiedzie. 6, Cenny kruszec. 7. Ptak na sztandarach sokolich wyszyty. 8 Autor „Pieśni o ziemi naszej“. 9. Część drzewa. 10. Leśne jagody, okrągłe, czarne. 11. Poseł do Dumy z miasta Warszawy. 12. Imię męskie, znane z „Pana Tadeusza“. 13. Broń szermierska 14. Tytuł socyalistycznej gazety w Galicyi. 15. Najprostszy przyrząd do świecenia. 18. Roślina. której owocami żywią się głównie Chińczycy i Japończycy. 19. Instrument muzyczny. 20. Złe oddziaływanie. 21. Podręcznik do nauki bez nauczyciela.

Zagadka głoskowa.

Ułożył Artur Bocsoń, Bóbrka.

Z następujących głosek: bert, bes, de, des, eu, er, fa, ga, iżm, kisz, lan. or, pi, pi, re, ro, ry — ułożyć sześć wyrazów, których litery początkowe, czytane z góry na dół, dadzą nazwisko polskiego pisarza, a końcowe, czytane z dołu do góry, tytuł jednego z jego dzieł.

Znaczenie wyrazów: 1. Szyk bojowy u starożytnych Greków. 2. Imię męskie. 3. Poeta grecki. 4. Teorya filozoficzna. 5. Przywódca Jakobinów podczas rewolucyi francuskiej. 6. Gatunek zboża.

Łamigłówka.

Ułożyła H. Mokrzycka, Turbia.

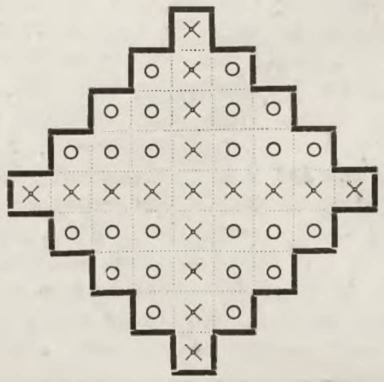
Podane litery poprzestawiać w ten sposób, aby stworzyły sześć słów, a to: w pionowym kierunku: 1. Bogini grecka. 2. Pieniądz grecki. 3. Imię męskie. — Zaś w pionowym kierunku: Wieżyczka na tureckiej świątyni 2. Amator pieszej podróży. 3. Pamiątki dawnych bojów na stepach Ukrainy.

Litery są:

m d b
a a d
a a m m w r r
k u u y r r r
h h n n p i i
e e i
e e t

Kryptogryf.

Ułożył Artur Bocsoń, Bóbrka.



Gwiazdki i kółka zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, w pionowym i poziomym kierunku czytane, utworzyły nazwisko znakomitego kompozytora polskiego.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Bratanek Abrahama. 3 Miasto na Litwie. 4. Imię męskie. 5. ?. 6. Dopływ Dunaju. 7. Inaczej pora zwłaszcza w miejscach kąpielowych. 8. Generał rosyjski. 9. Samogłoska.

Arytmogryf.

Ułożył Alfred Rotter.

1
14 2 15
8 16 3 2 17
18 2 15 4 19 3 2
12 3 20 15 5 17 13 15 2
21 2 3 20 2 6 4 22 2 3 4
24 2 23 19 22 6 7 3 19 20 4 2 15
1 2 3 4 5 6 7 8 9 5 10 2 11 12 13
12 3 20 10 2 26 9 5 21 15 13 11 2
11 7 25 6 4 5 11 24 5 10 2
23 7 13 19 10 2 15 15 2
13 6 18 2 24 2 15
21 22 11 24 2
5 12 5
13

Cyfry zastąpić literami w ten sposób, aby litery środkowe, w poziomym i pionowym kierunku czytane, utworzyły imię i nazwisko bohatera polskiego, którego pomnik odsłonięto niedawno w jednem z miast galicyjskich.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Imię męskie. 3. Mieszkaniec gór. 4. Dzikie zwierze drapieżne 5. Ubranie kobiece, wyszłe już dawno z mody. 6. Tytuł dramatu Słowackiego. 7. Znany poseł na sejm porozbiorowy. 8. ?. 9. Dwa szczyty w Tatrach. 10. Miasto w Królestwie Polskiem, słynne cudownym obrazem Matki Boskiej 11. Kwiat. 12. Miasto w Persyi, dawna rezydencya. 13. Owad, dokuczliwy w lecie. 14. To, czem się patrzy. 15. Samogłoska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza redakcya jako nagrodę **wspaniały tort biszkoptowy** z cukierni Piaseckiego w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 30.

Zagadka w szaradzie.

Zagadka.

Logogryf.

Patagonia. **O**rinoko, **G**orki, **R**umelja. **O**limp, **M**ojżesz, **W**yspiański, **B**erta, **I**rydion, **A**pollo. **Ł**owicz, **Y**ack, **M**ikado, **S**ynaj, **T**ołstoj, **O**rmura, **K**ryński, **U**trecht.

Pogrom w Białymstoku.

Zagadka głoskowa.

Oj**a**ma, or**d**er, Kl**a**ra, li**m**ba, Or**s**za, Za**t**or, sm**o**ła, pu**d**el, Ip**o**la, Tu**r**ka.

Adam Stodor.

Łamigłówka.

M u s
e j a
M e l a n i a
U j a z d ó w
S a n d a c z
i ó c
a w z

Melania. — Ujazdów. — Sandacz.

Kryptogryf.

Z, m**a**k, Ru**g**is, Zag**ł**oba, czo**ł**o, Ab**o**, **a**.

Zagłoba.

Arytmogryf.

A, b**u**k, Ta**t**ar, Kon**o**top, auto**n**omia, sam**o**war, ko**m**ik, l**i**n, **a**.

Autonomia.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: Fr. Kośmider Nowy Sęcz, E. Bogdalska Koropuż, T. Domain Sanok Z. Bogdański Miko, Dr. Warmski Turka, p. Stryjem. M Różański Gorlice, A. Boratyński Budzanów, A. Bocsoń Budzanów, Fr. Niepokój Krosno, Tow. „Zgoda“ Krosno, E. Wysoki Krosno, A. Bassara Niwiska, O. Paszkowska Fiume, St. Łaszkiewicz Dębica, T. Mendys Tarnobrzeg, Fr. Kalita Gawłuszowice, St. Gajdeczka Sieniawa, H. Mokrzycka Turbia, B. Ramułtowa Jeżów, K. Fuchs Peczeniżyn, K. Ludwig Borysław, J. Haładej Górki, M. Kuzia Wadowice, Józef Gałka Lwów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. J. Gałka we Lwowie. Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.

Kącik humorystyczny.

A gdzie konie?

Przyjechali z wycieczką do Krakowa chłopi z pod Sokala.

Jeden z nich Walenty Bania był po raz pierwszy w większem mieście. Więc ze zdumieniem nie do opisania spojrzał, zaraz z dworca kolejowego wychodząc, na wozy tramwaju elektrycznego.

— To jest taki najnowszy tramway – objaśnia go towarzysz Wojciech Buła, większy bywalec.

— A gdzież konie — pyta Bania.

— Cóż nie widzisz — odpowiada mu Buła — ile tam koni siedzi w środku.

W sądzie.

Sędzia: Więc wasza żona wszędzie wam towarzyszyła, gdzie tylko chodziliście kraść?...

Oskarżony: Tak, proszę pana sędziego, bo ona jest bardzo zazdrosna kobieta...

Z Zakopanego.

W pewnym pensyonacie pani Fl... spostrzega w czasie obiadu przy wspólnym stole, że została w kaloszach.

Więc zręcznie zsuwa je z nóg tak, że nikt tego nie zauważył.

Siedzący naprzeciw niej pan L... co chwila przypadkiem następuje nogą na te nieszczęsne kalosze i za każdym razem, zwracając się do sąsiadki, mówi „przepraszam“, pewny, że nadeptał pani Fl. na nogę...

W chwili gdy podawano pieczeń w tej stronie stołu, nieuważny młodzieniec znowu końcem swego buta uderzył o kalosz i głośno prawie zawołał:

— Przepraszam...

— Jeszcze i dla pana dosyć zostanie — odpowiada nieco urażona pani Fl. która właśnie nabierała pieczeń na swój talerz.

NADESŁANE.